

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 4

1 marca 1937 roku

WYDAJEMY WE LWOWIE

27 NUMER PISMA

Sygnalizator

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka •

ADAM PRÓCHNIK

PROBLEM INTELIGENCJI

Do skomplikowanych szczegółów architektury społecznej należy zagadnienie inteligencji. Jeżeli kreślić obraz klasowy społeczeństwa, gdzie mamy ją umieścić? Przy dwuklasowym podziale (proletariat — klasy posiadające) lub przy trójklasowym (proletariat — warstwy pośrednie — klasy posiadające), gdzie znajduje się przynależne jej miejsce? Jakim pokładem nawarstwienia społecznego jest inteligencja?

Wstępem każdego rozważania, roszczącego sobie pretensje do jakiejś ścisłości, jest ustalenie i uzgodnienie treści pojęcia, któremu się operuje. Jakim sensu wkładamy w pojęcie inteligencji? Czy będziemy pod nią rozumieli zbiorowisko ludzi o pewnym, wyższym ponad przeciętny, poziomie intelektualnym, czy ogół ludzi, legitymujących się formalnym wykształceniem średnim lub wyższym, czy też może poprostu pracowników, zarobkujących przy pomocy t. zw. pracy umysłowej? Pojęcie pracy umysłowej jest zresztą również pojęciem względnym i zachodzi pytanie, czy nie byłoby trafniejsze użyć określenia negatywnego, obejmującego wszystkich pracowników nie pracujących fizycznie. W tem bowiem znaczeniu termin „inteligencja” występuje najczęściej.

Ścisłe rozgraniczenie tych trzech sposobów pojmowania inteligencji: 1) jako ludzi inteligentnych, 2) ludzi dyplomowanych i 3) pracowników umysłowych (niefizycznych), przedstawiałyby poważną trudność, gdyż w potocznym użyciu krąży pojęcie inteligencji, stanowiące raczej pomieszanie owych trzech punktów widzenia. Od tego pojęcia potocznego, stanowiącego w gruncie rzeczy zespolenie trzech zupełnie różnych pojęć, trudno by nam przyszło w naszych rozważaniach się oderwać, gdyż pojęcie to zdobyło sobie prawo obywatelstwa. W współczesnym społeczeństwie istnieje bowiem problem inteligencji, a podstawą jego jest właśnie inteligencja w ten sposób pojmowana. Chcąc rozważyć problem, musimy z konieczności przyjąć jego podstawę. Rozpatrzenie bowiem w zupełnym oderwaniu problemu intelektualistów lub problemu pracowniczego nie przyniosłoby wcale w rezultacie rozstrzygnięcia problemu inteligencji. Zdając więc sobie z tego sprawę, że pojęcie inteligencji jest pojęciem złożonym i nie tracąc z oczu jego części składowych, czynimy to pojęcie podstawą naszych rozważań.

W rozważaniach tych bowiem chodzi nietylko o szczegółową analizę pojęcia inteligencji, ile o stwierdzenie, czy pojęcie to stanowi kategorię kulturalną, czy też kategorię społeczną. Wydaje się, że bez żadnego sporu przyznamy, iż jest i jednym i drugim. Nas jednak, którzy pragniemy przemyśleć problem inteligencji, interesuje to drugie, nas zajmować będzie inteligencja jako kategoria społeczna. Na tej bowiem platformie wyrasta całe zagadnienie.

Jeżeli bowiem przyjmujemy inteligencję jako kategorię społeczną, wyłoni się skolei kwestja, jaką ona jest kategorią społeczną. I oto odrazu nasuwa się cały szereg możliwości i tyleż wątpliwości. Spróbujmy je sformułować. Staje przed nami problem, czy inteligencja stanowi odrębną klasę społeczną? A jeżeli nie, czy należy do którejś z istniejących klas? Czy stanowi może część klasy robotniczej? A może właściwsze będzie zaliczyć ją do t. zw. warstw pośrednich? Wydaje się nam, że na żadną z postawionych tu kwestyi nie moglibyśmy udzielić odpowiedzi prostej i krótkiej: tak lub nie. Gdybyśmy nawet zdecydowali się na któreś z tych dwóch tryliterowych słów, dodalibyśmy zaraz jeszcze jedno tryliterowe słowo: „ale”, a potem wiele słów wieloliterowych.

Tak, inteligencja posiada wiele cech wspólnych, które ją łączą i wyodrębniają. Ale czy to wystarczy, aby ją uznać za specjalną klasę społeczną? Aby to uczynić, należałoby wykazać, że posiada ona wspólne, sobie tylko właściwe, warunki społeczne, które ją zasadniczo wyróżniają od innych klas społecznych. Tymczasem wiadomo, że te warunki ani nie są wspólne dla całej inteligencji,

ani nie są obce innym warstwom społecznym. Zaliczyć inteligencję do klasy robotniczej? A czyż można to uczynić z całą t. zw. inteligencją i czyż można pominąć cechy wyodrębniające? Te same trudności powstaną, gdyby się chciało włączyć inteligencję do warstw pośrednich.

Powstaje zatem zasadnicza wątpliwość, czy uważając inteligencję za kategorię społeczną, można ją uznać za klasową całość, odrębną klasę lub część jednej klasy. Zamiast odpowiedzi, spróbujmy przeprowadzić społeczną analizę inteligencji. Jest ona pojęciem złożonym również pod względem społecznym. Do inteligencji zalicza się cała niemal klasa posiadająca. Ale stanowi ona nie tylko nieznacznie mniejszość całego społeczeństwa, stanowi również mniejszość inteligencji. Większość, i to znaczna, należy niewątpliwie do najmniejszej klasy pracowniczey. Ta część inteligencji posiada wszystkie cechy zasadnicze społeczne wspólne z proletariatem, nie dysponuje indywidualną własnością i znajduje się w stosunku najmu, w stosunku zależności ekonomicznej. Dalsza część inteligencji może zostać zaliczona do warstw pośrednich, ta zwłaszcza, która posiada własne warsztaty pracy, ale nie opiera swego bytu na wyzysku cudzej pracy, albo ta, która tylko częściowo jest ekonomicznie uzależniona, lub pozostaje nawet w stosunku najmu, ale zajmuje wyjątkowo wysokie hierarchicznie stanowisko. Te trzy grupy klasowe inteligencji, odpowiadające trzem zasadniczym warstwom podziału społecznego — klasa posiadająca, proletariat, warstwy pośrednie — nie wyczerpują jednak pod względem społecznym pojęcia inteligencji.

JÓZEF WITTLIN

LITANJA

O wszystkim niemal, co się teraz dzieje —
Milczę.

Milczę o moich bliźnich znikczemieniu.
Milczę o moich bliźnich pohańbieniu.
Milczę o Polsce po śmierci Marszałka,
O głodzie głodnych, o sytości sytych,
O wszystkich w boju nierównym pobitych.
Milczę o nędzy wsi i doli chłopów.
Milczę o nędzy miast i bezrobociu.
Milczę o mroku w duszach krzywdzicieli.
Milczę o mroku w duszach pokrzywdzonych.
Milczę o szczuciu ludzi przeciw ludziom.
Milczę o biciu bezbronnych i słabych
I o istnieniu Berezki Kartuzkiej
I o kajdanach na rękach poety.
(O Tobie milczę też, Panie Cenzorze,
Więc nie konfiskuj mojego milczenia.)

Milczę o wszystkim, co z mego sumienia
Czyni nieczystą, krwawą, ropną ranę.
Milczę o wszystkim, co gardziel mi dusi.
Milczę o zmorach, które noc mi kładzie
Na sercu pełnym lęku i goryczy.
Z czeluści piekiel, które się rozwarły
Dusza milczeniem krzyczy.
Milczę o wszystkich zbrodniach, które widzę,
Milczę o wszystkich uzbrojonych tchórzach,
O toniach krwi przelanych nadaremnie.
Milczę o wojnach, co jutro wybuchną,
Milczę o wojnach, które już się toczą.
Milczę o dzieciach w trupiarniach Madrytu.
Milczę o lasce bomb i iperytu.
Milczę o wszystkich procesach moskiewskich,
Milczę o djable, co po świecie chodzi...

Panie, co sądzisz słowa me i czyni,
Nie karz mnie srogo za moje milczenie!

Musimy w tem miejscu odwołać się do własnych rozważań nad strukturą społeczną współczesnego społeczeństwa, umieszczonych w niewychodzącym już dziś miesięczniku „Lewy Tor”. Zastanawiając się nad zagadnieniem warstw pośrednich, zakwestjonowaliśmy wówczas podział na trzy tylko klasy społeczne, poddaliśmy zwłaszcza w wątpliwość metodę, polegającą na zaliczeniu wszystkiego w czambuł, co nie jest proletariatem w ścisłym sensie marksowskim i nie jest klasą posiadającą, do warstw pośrednich. Stwierdziliśmy wtedy, że w kleszczach rozkładającego się ustroju kapitalistycznego wszystkie trzy zasadnicze warstwy społeczne przeżywają okres kurczenia się, a obok nich wyłania się i rozwija warstwa czwarta, warstwa, która jest w prostej linii produktem bankructwa ustrojowo-społecznego, warstwa, która się rekrutuje zarówno z proletariatu, jak i z warstw pośrednich, warstwa spauperyzowanych, wyędźniałych, wytraconych z normalnej kolej mas, Dawni robotnicy, którzy stali się dziś na długie lata bezrobotnymi, młodzież która nigdy nie pracowała i niewiedząca, kiedy pracować będzie, bezrolni i bezrobotni chłopci, zubożali do skrajnej nędzy małorolni, wyrzucone z trybów spokojnego burżuazyjnego życia drobnomieszczactwo, tragicznie bezradne wobec zbliżającej się burzy, nikomu dziś niepotrzebne liczne tysiące umysłowych pracowników, których fachowość i wiedza nie są w stanie uchronić od stoczenia się w przepaść nędzy, jaka przed nimi się rozciąga — to wszystko składa się na nową, coraz liczniejszą warstwę społeczną. Wstrzymany został postęp proletaryzacji. Tak. Ale rozwija się i potęguje inny proces, proces niemniej płodny w konsekwencje, proces pauperyzacji.

Ta czwarta warstwa, ten współczesny stan czwarty, stan zbiedniałych, spauperyzowanych, zrozpaczonych szerokich mas, to nie jest bynajmniej jakaś grupa społeczna, mieszcząca się na stanowisku pośrednim między proletariatem a kapitałem, to jest warstwa, której miejsce społeczne jest tuż obok proletariatu. Jest to poprostu drugi rodzaj proletariatu. Obok proletariatu w sensie marksowskim, proletariatu najemników, pozbawionych własności i skazanych na zależność ekonomiczną, istnieje drugi proletariat mas spauperyzowanych, pozbawionych i własności i pracy i w najmniejszym choćby stopniu unormowanych warunków bytu. Jest to proletariat nie w sensie marksowskim, ale w sensie starożytnym. Nie tu miejsce na wykazywanie różnic między masami sproletaryzowanymi, a masami spauperyzowanymi, różnic, które odbijają się zwłaszcza na ich psychice i świadomości, różnic, na których żeruje dziś światowy faszyzm. Stwierdzamy tu tylko fakt, który leży na linii naszego rozumowania. W składzie chemicznym inteligencji konstatujemy również istnienie tego czwartego czynnika, licznych, zubożonych, wytraconych z kolej mas pracowników umysłowych.

A więc inteligencja nie jest klasą lub częścią jednej klasy, odzwierciedla całkowicie ogólny podział klasowy, jest mikrokosmosem całego społeczeństwa, jest mozaiką, w której nie brak żadnej z barw widma społecznego. Czyżby wobec tego należało poddać rewizji nasze poprzednie zdanie, że inteligencja jest kategorią społeczną? Czyż zespół międzyklasowy, którym jest inteligencja, nie może stanowić kategorii społecznej?

Kategoria społeczna i klasa społeczna to nie są pojęcia identyczne. Klasa społeczna jest kategorią społeczną, ale są i inne rodzaje kategorii społecznych. Zilustrujmy to na przykładzie inteligencji. Jest to zespół społeczny, złożony z odłamków różnych klas. Jest on zatem rozdarty sprzecznościami społecznymi, jak całe społeczeństwo. Front walki klasowej przechodzi przez sam środek inteligencji. Ale czyż przez to inteligencja przestaje wogóle być zespołem? Nic podobnego. Albowiem obok tych potężnych czynników klasowych, dzielących inteligencję, istnieje szereg innych czynników, które ją łączą i spajają, obok znanych momentów, które w po-

szczególne odłamy inteligencji zdolne są wpoić świadomość klasową, istnieje wiele innych, które tę świadomość zaciemniają, mącą i zmniejszają.

Spróbujmy szereg takich czynników, wytwarzających wśród inteligencji poczucie jedności i maskujących głębię dzielących ją przeciwieństw klasowych, zestawić: 1) A więc jednym z owych czynników jest tworzenie przez całą inteligencję pewnej wspólnoty intelektualnej, wspólna przynależność pracowników umysłowych i burżuazji do t. zw. warstwy wykształconej, istnienie wspólnych lub podobnych zainteresowań, korzystanie z wspólnego skarba kultury. 2) Rezultatem owej wspólnoty umysłowej jest wytworzenie się więzi towarzyskiej, łączącej inteligencję mimo dzielących ją różnic społecznych. Wielkiego znaczenia tego rodzaju więzi nie trzeba wyjaśniać. Proletariacka, ze względu na swe warunki społeczne, część inteligencji odczuwa to jako rodzaj wywyższenia społecznego. 3) Inteligencja, korzystając w całej pełni z współczesnej kultury, ulega z wszystkich warstw najsilniej jej duchowi. Skutki są podwójne. Z jednej strony jednostki spośród inteligencji okazują największą skłonność do przyjmowania nowych prądów i idei, z drugiej jednak strony olbrzymia większość inteligencji podlega w najwyższym mierze działaniu czynników tradycyjnych i zachowawczo-społecznych, tkwiących w kulturze, pozostającej silnie pod wpływami warstw społecznie panujących. 4) Poważnym czynnikiem jest pochodzenie społeczne. Pod tym względem inteligencja polska ma specyficzny charakter. Jest on w dużej mierze szlachecki. Pamiętać należy, że Polska była krajem o wyjątkowo wielkiej liczebności warstwy szlacheckiej. Szlachta nie była w Polsce nigdy drobną garścią. Stanowiła ona niewiele mniej niż dziesiątą część zaludnienia kraju, a więc kilkakrotnie więcej niż w krajach sąsiednich. W czasach stanowych wyrażało się to w istnieniu specjalnie licznej warstwy państwa szlacheckiego, w poważnych i głębokich sprzecznościach społecznych, dzielących szlachtę, co wszystko nadawało polskiemu obrazowi społecznemu specyficzny charakter. W trakcie przekształcania w Polsce ustroju państwowo-poddańczego na kapitalistyczny, ta masa szlachecka musiała gdzieś odpłynąć. Duża, przeważająca jej część zasilila inteligencję. W rezultacie inteligencja posiada w swej psychice bogate dziedzictwo szlacheckie. Przyczynia się to w niemałej mierze do zaciemnienia jej świadomości klasowej. Ekonomiczny proces jej proletaryzacji natrafia na poważne hamulce, gdy ma przekształcić się w proces duchowy. Drugim czynnikiem składowym inteligencji polskiej jest mieszczaństwo. Gdy inteligencja krajów demokratycznych czerpie wciąż soki z morza ludowego, jest w dużym stopniu z pochodzenia robotniczo-chłopska, ludowa, wciąż z ludu się odnawia, u nas jest ona w przynajmniej części szlachecko-burżuazyjna. Nie może to pozostać bez konsekwencji i to najpoważniejszych. 5) Ten stan rzeczy wciąż się pogłębia przez system wychowania w Polsce panujący. W epoce zaborczej i w pierwszym okresie niepodległości niedorozwój szkolnictwa odbijał się w pierwszym rzędzie na szerokich warstwach społecznych i utrudniał im dostęp do wiedzy. Nowy ustrój szkolny, wprowadzony przed kilku laty i teraz realizowany, ma za zadanie stan ten sprofanować. Zakorkowanie poszczególnych typów szkół, utrudnienie młodzieży robotniczo-chłopskiej wspinania się po szczeblach nowej organizacji szkolnej, utrwała i pogarsza stan dotychczas istniejący, że oświata szkolna zwłaszcza w szych wyższych stopniach jest przywilejem zamożności. Dostęp dzieci robotniczo-chłopskich do szeregów inteligencji pozostaje wciąż utrudniony, a pierwiastki szlachecko-burżuazyjne mają w niej zapewnioną przewagę. Czynnikiem ten niemało się przyczynia do zamknięcia świadomości klasowej tej grupy społecznej. 6) Następnie zwrócić należy uwagę na fakt, że aczkolwiek inteligencja jest zespołem, posiadającym w swym składzie wszystkie pierwiastki klasowe, aczkolwiek jest do pewnego stopnia, jak powiedzieliśmy, mikrokosmosem społecznym, to jednak ustosunkowanie poszczególnych warstw społecznych w jej łonie nie jest takie, jak w całym społeczeństwie. Inteligencja jest stosunkowo małym ułamkiem całego społeczeństwa, ale mieści w sobie niemal całą klasę posiadającą. Warstwa średnia jest w obrębie inteligencji również stosunkowo liczniejsza niż w obrębie całości. Inteligencja klasa pracująca nie odczuwa więc tak silnie swej przewagi ilościowej, jak proletariat fizycznie pracujący. 7) Dochodzą wreszcie czynniki powszechnie znane. Proletariat pracowników umysłowych nie posiada wielkich warsztatów pracy, skupiających tysiące i dziesiątki tysięcy w jednym, wspólnym miejscu pracy, nie posiada ognisk pracy masowej. Jest rozrzucony w małych grupkach, którym trudniej jest się organizować i trudniej nabywać świadomość. 8) Proletariat pracowników umysłowych w małej tylko części pozostaje w stosunku bezpośredniej zależności od kapitału. Największe ugrupowania najemnych pracowników umysłowych są w stosunku najmu do państwa, samorządu, intytucji t. zw. społecznych — np. nauczyciele, urzędnicy i t. p. Jest rzeczą zrozumiałą, że ich położenie społeczne nie wiele się różni od położenia bezpośrednich najemników kapitału, że podlegają warunkom społecznym, wspólnym dla całego świata pracy, że warstwy kierujące produkcją, mają i w państwie głos decydujący. Ale niema wątpliwości, że świadomość warunków społecznych jest tam jaśniejsza, im wyraźniej i bezpośrednio występują ich przyczyny. 9) Nie bez znaczenia jest również fakt, że pracownicy umysłowi są wszyscy w mniejszym lub większym stopniu fachowcami, posiadają jakąś specjalność, do której spełnienia są przygotowani, i że w rezultacie poziom przeciętny ich zarob-

ków jest wyższy od przeciętnego poziomu pracowników fizycznych. Dodać należy, że obejmują z reguły stanowiska kierownicze i nadzorcze i odgrywają rolę hierarchicznie wyższą od pracowników fizycznych. Sprzyja to wzmocnieniu się ich poczucia odrębności i wyższości. Należenie do inteligencji ma jednak do pewnego stopnia charakter przywileju 10) Wreszcie czynnikiem najważniejszym. Proletariat fizyczny posiada może niższy poziom wykształcenia umysłowego i formalnego, ale żyje i pracuje w warunkach sprzyjających w wyższym stopniu kształtowaniu się świadomości klasowej. Posiada on bowiem możliwość bezpośredniego obserwowania mechanizmu ustroju społecznego. Widzi, palcami dotyka przyczyn swej niedoli społecznej. Na własne oczy spostrzega, jak nadwartość wypływa z jego rąk do skarbców kapitalistycznych. Gdy strejkuje, a państwo interweniuje na jego niekorzyść, wyciąga sam z tego prosty wniosek, że i tam rozciągają się wpływy mu przeciwne. Bezpośrednie dostrzeganie zjawisk społecznych jest doniosłym czynnikiem dla formowania się świadomości klasowej. Rzecz jest zgoła inna, gdy trzeba dopiero doszukiwać się związku przyczynowego między zjawiskami.

Cały więc szereg czynników, nie wyliczyliśmy zapewne wszystkich, powoduje, że inteligencja nie rozpada się prosto na swe czynniki klasowe, lecz posiada pewne poczucie całości, stanowi do pewnego stopnia zespół społeczny. Z jednej strony działają czynniki klasowe łączące poszczególne czynniki inteligencji z jej odpowiednikami klasowymi w całym społeczeństwie, z drugiej strony czynniki dośrodkowe osłabiają jej świadomość klasową i stwarzają fikcję jedności, fikcję, opartą jednak na silnym podłożu psychologicznym.

Nie jest zatem inteligencja klasą społeczną, ale jest jednak pewnym zespołem, pewną kategorią społeczną. Nie jedyną zresztą kategorią tego rodzaju. Podobną na przykład kategorią jedności grupowej jest jedność chłopska. Masa chłopska nie jest społecznie jednolita, dzieli się co najmniej na kilka warstw, te warstwy zaś dzielą sprzeczności. Niemniej istnieją czynniki łączące i zaciemniające świadomość klasową, a więc również poziom umysłowy, więź towarzyska, specjalne warunki pracy i t. p. Również do pewnego stopnia kategorią społeczną jest młodzież. Pochodzeniem należy do różnych klas, w przyszłości również do różnych należeć będzie, ale są i czynniki ją łączące, np. poczucie zmienności społecznej, brak bezpośredniego udziału w walkach klasowych, trudne warunki dla młodzieży, panujące w współczesnej dobie.

Te kategorie społeczne, umieszczone na miedzypolu klasowym, oparte na poczuciu jedności grupowej, stanowią czynnik hamujący naturalne ugrupowanie sił społecznych. Nie oznacza to oczywiście, aby inteligencja, chłopcy czy młodzież w tem ugrupowaniu żadnego udziału nie brała. Rezultatem tego jest jednak chwiejność i niezdecydowanie, płaszczyzna tarć czynników dośrodkowych i odśrodkowych i częstkowe tylko uczestniczenie tych warstw w zmaganiach klasowych.

Ten stan rzeczy jest jednak etapem pewnego procesu. Proces ten ma wyraźną tendencję. Prowadzi on do coraz to wyraźniejszego deklarowania się sił społecznych. Czynnikiem dośrodkowym w obrębie inteligencji przeciwstawiają się czynniki odśrodkowe, będące równocześnie czynnikami dośrodkowymi w stosunku do klas społecznych. Nad czynnikami natury psychologicznej coraz bardziej bierą górę czynniki natury ekonomicznej. Wyrażają się one w dwóch procesach, które przekształcają z wolna, ale stale oblicze inteligencji. Są to procesy proletaryzacji i pauperyzacji. Procesy ekonomiczne przerażają świadomość. Tempo, w jakim się to dokonywa wśród inteligencji, jest może, pod wpływem czynników, o których była wyżej mowa, powolniejsze, ale kierunek procesu jest jednakowy.

Inteligencja jest dziś odrębną kategorią społeczną, ale kategorią zanikającą. Całkowity zanik owej odrębności będzie rezultatem długiego procesu rozwojowego. Dokona się on w dwóch zasadniczych etapach. Pierwszy etap, to okres osłabienia hamulców, wstrzymujących wytworzenie się pełnej wspólności świata pracy. W okresie tym czynniki ekonomiczne uzyskują przewagę nad czynnikami hamującymi. Świadomość klasowa przełamuje świadomość grupową. Drugi etap, to okres zniszczenia hamulców. W warunkach uspołecznionego życia inteligencja przekształca swój charakter i zmienia swą istotę. W miarę podnoszenia się ogólnego poziomu kulturalnego należenie do kategorii pracowników umysłowych przestaje być przywilejem, a inteligencja jako pojęcie oświeconej grupy społeczeństwa coraz bardziej się upowszechnia. Dostęp do niej przestaje być hamowany. Wytwarza się więź towarzyska, łącząca wszystkie warstwy świata pracy. Inteligencja nie jest już związana węzłami kulturalnymi z mieszczaństwem, lecz posiada wspólną kulturę z proletariatem. Inteligencja rozpływa się w świecie pracy. Nie poto, aby w nim zatonać, ale aby w nim się rozpowszechnić. Inteligencja przestanie odgrywać rolę społecznego wyjątku. Jest to proces odwieczny, zbliżający się do rozwiązania. Zaczęło się od tego, że wiedza była tajemnicą, a potem przywilejem i monopolem stanu kapłańskiego. Zwolna rozszerzała swe podłoże. Zachowuje jednak wciąż charakter elitarny. Inteligencja nie jest społeczeństwem, lecz kategorią społeczną. Kres tego procesu jest jasny. Istnienie inteligencji, jako odrębnej warstwy społecznej, pozostanie takim samym wspomnieniem historycznym, jak dziś jest wspomnieniem okresu, kiedy pojęcie inteligencji było jednoznaczne z pojęciem duchowieństwa. Stanie się ono jednoznaczne z pojęciem społeczeństwa

Adam Próchnik

ANDRZEJ WOLICA

K R E W

Rozdział z powieści „Zakład pod Świętem Wezwaniem“

Gorączkujący chłopiec umarł. To nie było zaraźliwe i zmarł na ogólnej sali. Sztynne, wydłużone ciało leżało samotnie w piwnicznej trupiarni. Bo i trupiarnia mieści się w piwnicy. Następnego dnia zza muru wyjechało szybko szpitalne auto. To cały pogrzeb. Gdzieś, na drugim końcu miasta, młodzi studenci wdzielali białe fartuchy. Woźny „Anatomicum“, poważny i siwy, szykował narzędzia sekcji. Ruchy jego pełne były hieratycznej dostojności i powagi. Siwe, krzaczaste brwi ocieniały rozumne, ciemne oczy. Uśmiechał się. Robił swoje.

A w Zakładzie płynęło życie normalnym, codziennym trybem. Tylko usta Magdy zwarły się mocniej, wargi zdawały się jeszcze bardziej cienkie i ich kąciaki osunęły się niżej w dół. Dr. Bosz szeleściła nową jedwabną suknią i mocno zakrochmalonym białym fartuchem. Inspekcja sal odbywała się normalnie. Dzieci bawiły się na podwórku, szły do szkoły, odrabiały lekcje. A pan Ballin siedział pochylony nad kasową księgą.

W najciemniejszym kącie dziewczęcej sypialni na pierwszym piętrze siedzi skulona Zośka. W pokoju półmrok, zbliża się godzina kolacji. W dzień nie wolno udawać się dzieciom do sypialni. Od tego jest świetlica — pusty i wrogi pokój — i podwórko. I izba, w której odrabia się lekcje. Ale jakże teraz zejść nadół. Jak pokazać się ludziom na oczy? Trzeba pilnie nadłuchiwać, co dzieje się we własnym wnętrzu. Śledzić uważnie każdą gamę pulsującej krwi, trwać w tym dziwnym, obcym i niezrozumiałym stanie. I milczeć. Za wszelką cenę milczeć. Żeby się nikt o tej nowej hańbie nie dowiedział.

W sypialni siedzi skulona Zośka. Już czas zejść na kolację. dzwonek zajączał i zamilkł. Ciemniejszą kąty pokoju. Z okrytych tajemniczością, zaciemnionych zakamarków wysuwa się groza. Własne ciało staje się obce i niezrozumiałe. Młde i niezdolne do żadnego ruchu. I narasta poczucie ogromnej niepojętej winy. Zośka składa ręce i modli się pocichu i prędko. Chce czempredzej ubłagać swego Boga, żeby to ustało. Żeby zaraz, natychmiast Wierzy, że ta nowa choroba to kara za jakieś niepamiętane już winy. Ślubuje być dobrą i posłuszną. Byle już to ustało, byle można zejść nadół i ukradkiem, niepostrzeżenie sięść do kolacji. Żeby nikt nie zauważył i nie dowiedział się. I żeby być jak wszystkie inne dzieci. Nie odróżniać się. Jakże ciężka ta nowa tajemnica. I krople sączącej się wolniutko krwi.

A Bóg milczy. Nie daje żadnego znaku. Tkwi gdzieś woddali, mroczny i groźny, z surowo wyciągniętym palcem. Nie uśmiecha się. W drugiej, schowanej za plecami ręce, trzyma batog. Czy może różgę pana intendenta?

I powoli zbliża się groźna twarz zoddali. Zośka wpatruje się szeroko rozwartymi oczyma. Drży cała. Jej Bóg ma twarz Ballina, ponurą i surową. Nie uśmiecha się. Zjawia się karzący i obcy i coraz niżej pochyla się nad skamieniałą z trwogi dziewczynka. Już otwiera usta, by powiedzieć jakieś straszne słowo. Zośka z krzykiem chowa twarz w poduszkę. Całe jej ciało wstrząsa dreszcz rozpaczliwego, zachłystującego się łkania. Skreca ja dziwny, idący z brzucha ból.

W pustym, ciemnym pokoju płacze rozpaczliwie mała wychowanka Zakładu pod Świętem Wezwaniem, Zośka Majewska

Tego wieczoru doktor Bosz asystuje przy kolacji. Obchodzi stoły, przy których siedzą sztywno wyprostowane dzieci. Podane już jedzenie wydaje ciepła, miłą woń. Za oknem pada deszcz. Rozlewa się błotnista jesień. A ręce palą się, by chwycić kromkę chleba i zanurzyć łyżkę w gorącej, parującej przyjemnie cieczy. Na kolację jest ulubiona fasolowa zupa. Ciągłe jeszcze dr. Bosz nie daje swemu do przedkolacyjnej modlitwy. Obchodzi stoły. Mierzy każde dziecko uważnym, kontrolującym spojrzeniem. Wreszcie wzrok jej napotyka pustkę. To miejsce Zośki.

Dr. Bosz jest w dobrym humorze, kończy swą inspekcję bez słowa. Daje sygnał rozpoczęcia kolacji. Po tem mówi do panny Ireny:

— To pani dziewczynki brak, chodźmy jej poszukać.

Na podwórku jest deszcz i błoto i niema nikogo. W świetlicy zgaszone światło. A schody na piętro są niewygodne i strome. Dr. Bosz zadyszkała się. Kończy się jej dobry humor. Mówi kwaśno do Irki.

— Ładna wychowanka, niema co — trzeba ją będzie znowu pouczyć.

To „pouczyć“ brzmi w jej ustach jak znajomy świst. Świst hrzozowej wtki, spadającej z rozmachem na nagie, obnażone ciało. Irka denerwuje się, ogarnia ją niepokój o małą, proponuje:

— Może jest w sypialni, chodźmy.

W niespodzianie zapalonem, silnem świetle elektrycznym widać wyraźnie leżącą na łóżku dziewczynkę. Powieki ma zapuchnięte od płaczu, może przed chwilą dopiero zasnęła wśród łez. I śni jej się może wielki, niezrozumiały grzech i kara. Leży skurczona i oddycha ciężko. Pochrapuje.

Bosz budzi ją brutalnie. Na nieprzytomne jeszcze ze snu dziecko sypie się grad wyzwisk i gróźb. Głos

jest ostry, szpiczasty i nieprzyjemny. Zośka rozgląda się wokół nierozumiejącymi oczyma. Wreszcie znowu wybuch porywistym, zanoszącym się płaczem.

Dłoń Irki jest miękka i łagodna. Ciepła, Gładzi lekko po głowie, odgarnia z czoła zlepienie, zmoczone płaczem i potem włosy. Irka pyta cicho:

— No co, co się stało, Zosiu?

I dziecko zaczyna szeptem spowiadać się wychowawczyni. Ale tu wpada Bosz.

— Co za sekrety? Jak śmiesz?! Masz mówić głośno, coś zbroiła.

Irka chce jej przerwać. Głos lekarki brzmi donośnie i groźnie...

I w pełnym świetle elektrycznej lampy, wobec dwóch obcych, dorosłych kobiet Zośka musi wypowiedzieć wszystko. Całą swą tajemnicę. Wstydlivość i lęk przełamuje Bosz szeregiem brutalnych pytań. Potem śmieje się pogardliwie i lekceważąco. Zadnych wyjaśnień. I jeszcze wyrzut o zniszczoną bieliznę. I krótki rozkaz:

— Marsz do umywalni, a potem zejdź na kolację. I żadnych histeryj.

Dr. Bosz wychodzi. Dziewczynka patrzy za nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma. — Więc nikt jej nie będzie za to bił i karał. — Irka gładzi dziewczynkę tkliwie po włosach. Uśmiecha się smutno i mówi cichym głosem:

— Nie martw się, Zosiu, to nic. To tylko stajesz się małą kobietą

I całuje mokra od łez, zbrudzoną twarz dziecka.

Oni zawsze przychodzą przed obiadem. I to najbardziej denerwuje pannę Zofję. Cóż z tego, że lekarz nie ma czasu o innej porze. Czy dlatego musi się wnosić za męt i zatrwać atmosferę na cały dzień? Nie chce, nie może się z tem pogodzić. I patrzy z nienawiścią na pannę Szubert, towarzyszącą nieodmiennie któremuś z tych panów z miasta. Obie wiedzą przecież, że dzieci boją się tego panicznie i że nie ma na to żadnej rady

To się nazywa braniem krwi dla doświadczeń badawczych. I to jest potrzebne. I od tego są biedne dzieci, „dzieci ulicy“ w dobroczynnych, filantropijnych zakładach, aby dawały swoją krew. To nawet niebardzo boli. Jakież nakłucie igłą. Kilkanaście kropel. Maleńki, czerwony strumyczek. I po wszystkim. Naprawdę, nie ma tu miejsca dla żadnej tragedii i dla hysterji. Prostu życiowa i naukowa konieczność. Tylko że zbuntowane myśli rozumują inaczej. Dlaczego nie zbiera się tej krwi w bogatych, pięknie urządzonej przedszkolach śródmieścia i dzielnic willowych? Dlaczego nie w prywatnych szkołach bogaczy? Dlaczego tu, od bezdomnych, wymizerowanych dzieci? I dlaczego przychodzą zawsze w czasie obiadu?

Oleś ma siódmy rok. Twarzyczkę błąda, o zielonkawo-ziemistym odcieniu. Nogi krzywe. W najwcześniejszym dzieciństwie chorował na krzywicę. I teraz jeszcze chodzi z trudem. W jego już zbyt drobne ciało (wygląda na dziecko czteroletnie) wżarł się zapach i kolor rodzimych baraków. Oleś to dziecko Annapola. Stamtąd przyniosła go matka i zostawiła pod murem zakładu, gubiąc w panicznej ucieczce chustkę z ramion. A Oleś został.

Siedzi teraz przy stole, bębni niecierpliwie łyżką i czeka na obiad. Jest uśmiechnięty i wesół. I wtedy wchodzi tamci. Wysoki pan z miasta o długich nogach i cienkim nosie. Oczy pana ukryte są za olbrzymimi szklami. To się nazywa binokle, ale tego Oleś jeszcze nie wie i nie umiałby ich nazwać. A pan patrzy przenikliwie na Olesia. Siedzący obok Janek trąca go w bok:

— Te, Olek — to pewnie ciebie wezmą.

Młodsze dzieci przy stole ogarnia cicha panika. Jeszcze siedzą wyprostowane, nieruchome i drżące przy stole. Ale już nie myślą o jedzeniu, o czekającym obiedzie. Spojrzenia ich śledzą uważnie starszych, dorosłych. Jedzenie staje się trudne do przełknięcia, chleb rozrasta się w ustach jak gąbka, kwaśnieje i cierpie. A pan w binoklach i higienistka zbliżają się do stołu młodszych dzieci.

Ołka ogarnia drżaczka. Mimowiednie zesuwa się z ławki i kuca pod stołem. Może w tej małej główce kryje się myśl, że tu go nie zobaczą, że z tego ciemnego kąta pod stołem nie wyciągną go na światło dzienne. Zamyka oczy. Zaciska mocno powieki. Nie widzi nic wokół siebie i jest przekonany, że i jego nikt nie zobaczy.

Nad stołem zalega martwa cisza. Głos panny Szubert brzmi łagodnie, ale ręka jej mocno ciąży na ramieniu:

— Chodź Oleś. Tylko na chwilę do infirmierni. To nie będzie bolało.

Chłopiec siedzi nieruchomo na podłodze pod stołem. Drobna i mocna dłoń higienistki powoli i nieuchronnie podnosi go w górę. Bez słowa, jak zahypnotyzowany, pozwala się wyprowadzić z jadalni. Nie krzyczy i nie woła pomocy. Dopiero na schodach zaczyna się wyrwać i kopać śmiesznie, krzywymi nogami. Walczy ze wszystkich sił. Wtedy panna Szubert daje mu dwa tegie klapsy po tyłku. Porywa chłopca na ręce i tuląc jego głowę mocno do piersi, żeby nie krzyczał, szybko znosi go do infirmierni. Za nią, nie spiesząc się, idzie wysoki pan na długich, cienkich nogach. Na nosie nosi szklę. Binokle. A dzieci w jadalni powoli kończą obiad.

Jakże trudno przebrnąć przez kocie łby i kałuże nieprzywycieczonym nogom. Ulica w mroku wieczor-

nym wydaje się zupełnie inna. Siąpi deszcz i trzeba podnieść kołnierz palta. Nogi mimowoli stąpają ostrożnie, ukradkiem. Nasunięty na czoło kapelusz chroni twarz od zimnych, wywołujących dreszcz kropel. W pobliżu latarni snują się na deszczu dziewczynki, nawołujące cieniem, przypominającym psie szczekanie, głosem:

— Panie, panie ładny, chodź pan do mnie. Chodź chłopczyku — zabawimy się ślicznie, umiem wszystkie figury.

Od tramwaju droga prowadzi prosto. I niepotrzebny jest wcale ukradkowy chód i nasunięty na oczy kapelusz. I cała ta konspiracja. Pana przecież nie zaczepi policjant, a i włóczęga mocny ominie zdaleka. Można iść śmiało, z podniesioną głową w tę Polskę nocy i deszczu i podmiejskiej już prawie ulicy. To już niedaleko. Już za tym domem zaczyna się mur. Już prawie widać zalany deszczem szyl

ZAKŁAD POD ŚWIĘTEM WEZWANIEM.

Zenon wzdycha, żałuje, że nie wziął kaloszy. I pościaga nerwowo kołatkę. Dźwięk dzwonka tonie w deszczu, w szmerze kropel sączących się i padających rozlewle na błoto ulicy. Delikatne buty pana kuratora nasakły wodą. Ciało pod ciepłym płaszczem wstrząsa dreszcz zimna i zdenerwowania. Trzeba długo czekać i długo szarpać kołatkę. I słuchać zniekanego, urywanego jęku dzwonka. Wreszcie dorodna dozorczyń, zła i zaspana, wyłazi z pościeli. Kuląc się pod deszczem, w narzuconej w pośpiechu chustce uchyla okienko, by gniewnie zapytać:

— Czego po nocy, do cholery! Wypać się sk...syny nie dadzą!

Zenon wymienia swe nazwisko i rangę. I w obramowaniu wąskiego okienka widzi, jak magicznie działa to na stróżkę. Zmienionym, drżącym ze wzruszenia głosem przeprosza, że pan kurator tak długo czekał, ale zaspiała. Tak — tak mocno spała. Już otwiera. I myśli: — A ten tu czego po nocy? — Patrzy zdziwiona i niepewna. I usłużnie proponuje:

— To ja pana intendenta obudzę — niedawno chyba zasnął.

Tak, ona wie to dobrze, że Ballin niedawno zasnął. Ale Zenon nie chce. — Nie trzeba nikogo budzić. Ja tylko tak wpadłem. Żeby przyjrzeć się zakładowi w nocy. Ktoś tu chyba ma nocny dyżur?

— A tak, to panna Magdalena dzisiaj.

— Kto to?

— A nocna deżurna, pielęgniarka.

— Dobrze, to proszę zaprowadzić mnie do niej.

I idą. Przez bajoro podwórza, chłodne korytarze i źle naftowymi lampkami oświetlone schody. Kroki ich tłumi chodnik. Przystają przed drzwiami dyżurki. Dobiega zza nich suchy, zanoszący się kaszel. Zenon puka i na zdziwienie, wykrztuszone wśród kaszlu: wejść — wchodzi. A dozorczyń biegnie czempredzej do Ballina, do intendenta, który ją przed godziną wyrzucił z pokoju, biegnie go uprzedzić o dziwnej, nocnej wizycie. Może za tę cenę wróci do łaski...

W dyżurce jest chłodno i obco. Nieprzytulnie. A pielęgniarka niechętna i zmęczona.

— Więc tu, tu pani śpi i odpoczywa?

— Ja nie śpię, panie kuratorze. To przecież nocny dyżur. Kiedy jestem bardzo zmęczona, kładę się na kożetkę i leżę przez chwilę.

— Tu przecież zimno, jakże tak?

— A tak, nie jest tu ciepło. To budżet. I mało tu zresztą przebywam. Trzeba kontrolować sypialnie. Przyzwyczaiłam się. Nawet spać się nie chce.

Jakże tu jej powiedzieć, że i jego wyгнаła z domu bezsenność. Że tkł się godzinami z pokoju do pokoju, by wreszcie wyjść o północy prawie, zadziwiając nie wiedzieć kogo więcej: dozorcę czy samego siebie. Że jechał nocnym tramwajem z drugiego końca miasta, tkł się w bajorach Ogrodowej ulicy, znany tęsknotą, bezsennością i smutkiem. I że nie mógł pomyśleć dla siebie innego miejsca, tylko właśnie tu.

— Tak, proszę pani, bardzo jestem ciekaw nocnego życia zakładu. I jego powszedniego dnia.

Magda patrzy — to przecież brat, brat tamtego. Jakże niepodobni są do siebie. A jest w nich przecież coś wspólnego, jakiś nieuchwytny rys, może uśmiech czy kolor oczu. — Więc to jest ów sławny, mityczny niemal Zenon Chmielewski. Brat. I przyszedł tu, po nocy. Do Magdy — chociaż sam nie wie o tem.

A Zenon? — Przecież tu gdzieś jest, tu pracuje dziewczyna Romka. Właśnie tutaj — I uśmiecha się do siebie. — W ten sposób jestem spokrewniony z moim zakładem. — I głośno. — Pani kaszle — co pani jest?

— Ee... To nic. Przeziębiam się trochę.

I jeszcze o tem i owem. A później.

— To może, proszę pani, przejdziemy się trochę. Pani zrobi swoją kontrolę czy inspekcję, a ja przy okazji zobaczę, jak to w nocy wygląda. Bo byłem tu tylko raz. Pani wie?... wtedy.

Tak, wie. I idą. Przez chłodne korytarze do dusznych, źle wietrzonych, zatłoczonych sypialni. Tak, proszę pana, tu dziewczynki. Tak. Niektóre po dwie na łóżku. Bo łóżek brak, a i miejsca mało — nie wystarcza. Dużo jest, proszę pana kuratora, nędzy ludzkiej. I woń jest nieprzyjemna, smród prostoprostu, wycieży. Ale okien się w nocy nie otwiera. Taki przepis. Zmarzłyby, bo nie pali się zbyt silnie w piecach. A tu są niemowlęta. One śpią niespokojnie. Nie — dzisiaj nie gorączkuje żadne prawie, *dzisiaj nie*. A tam w boksie, to dyfterytowy chłopiec. Lepiej nie podchodzić, brzydko wygląda. I zaraz-

liwe. Ale on się wyleczy, napewno wyleczy się. Dr. Bosz zapewnia. I cóż jeszcze? Niewiele tu do widzenia. Sale chłopców. Równo ułożone ubranka. Równiutko. W kożetkę. W rzad. Ze tak ciasno zestawione łóżeczka, że brak powietrza i przestrzeni, że starsi i wyrostki śpią z zupełnie młodymi? No tak, tak zawsze jest, tak było. Przecież dwóch dużych nie zmieściłoby się w wąskim łóżku. A te sienniki? Tak, to nie starczyło łóżek, ale to tylko chwilowe, to się jeszcze zmieni. Kiedyś. Może nie długo. Nie wiem. I cóż jeszcze? — Ustęp — o, teraz jest czysto wyszorowany. Łśni. To chłopcy przed snem sami czyszczą. A umywalnia — o tu, proszę pana. Obok, w pobliżu, ładna, prawda? Pan trochę zmęczony, może odpocząć. A, wzruszenie... No tak. Tu się wychowuje młode pokolenie Polski. Przyszli inżynierowie, technicy, artyści i malarze. Przyszli ślusarze i krawcy i stolarze. Żołnierze. To tu właśnie proszę pana, tu —

Uśmiech Magdy jest przysaśły. Jakby naklejony. Ona nie bawi się w politykę, w przekonania i wielkie słowa. Cicho, jak wierny przewodnik, pokazuje nocną rzeczywistość. Nie odsłania ciał, na których widnieją ślince od uderzeń, nie komentuje. Nie jest tendencyjna. Myśli o Romku i o swojej smutnej miłości. I ukradkiem obserwuje jego brata.

— A służba, proszę pani, gdzie śpi służba?

Więc nawet i to chce wiedzieć ten dziwny człowiek. Znajomym korytarzem wdół. Wgłęb piwnic. Do sypialni „nieślubnych matek“ (ten obraz znamy już). Pan kurator jest wzruszony i przejęty (autor nie pisze tych słów w sensie ironicznym). Mruży oczy w świetle naftowej lampki i szepce cicho po włosku: „Inferno“. Potem wracają nagórę do dyżurki. Oboje mają nisko opuszczone głowy. Magda czuje się współwinną za ogrom tego wszystkiego. Dziś zobaczyła to może poraz pierwszy w nowem, innem, nieprofesjonalnem świetle. Dzięki temu obcemu człowiekowi. Wielkiemu panu. Milczą. Przechodząc przez podwórko i potykając się na wybojach, spostrzegają maleńki, żarzące się światełko za daleką szybą. To pan Marjan Ballin, stojąc przy oknie, pali mocne, zagraniczne cygaro.

— Proszę pani — niech mi pani powie szczerze. — Ja nie wiem, służyłem w wojsku, potem długo byłem zagranicą — nie myślałem o tych sprawach — walczyłem o wielki ideał, o mocną, niepożytą Polskę — niech mi pani powie — czy tak jest wszędzie, czy to możliwe?

Magda zwiesza głowę. Cóż ma odpowiedzieć. Że też nie wie. Że pewno tak albo podobnie. Że to wreszcie nieważne, bo przecież wystarczy, jeśli istnieje jedno tylko takie oskarżam. Jest zmęczona i spać jej się chce. I przecież nie może temu tutaj powiedzieć wszystkiego. I że sama nie wierzy, żeby mogło być inaczej. Prostu: nie wierzy.

— Dlaczego pani milczy i dlaczego pani tak strasza nie kaszle? Przecież pani potrzebne jest sanatorium a nie nocny dyżur.

W mózgu pustka. Nie chce się już mówić ani myśleć. Dajcie mi spokój. Magda wzrusza ramionami.

— Ja muszę pracować — z czegobyśmy żyli.

— Pani ma męża, może dzieci, pani powinna koniecznie odpocząć...

Magda uśmiecha się. Myśli — ach, ty śmieszny, stary dzieciaku.

— I jeszcze jedno, proszę pani, musi mi pani koniecznie powiedzieć prawdę. Tu podobno biją dzieci, tu tego wieczoru, kiedy ja byłem, odbyła się chłosta, tu...

Magdzie wyrывa się okrzyk, nieostrożny okrzyk: — To Romek pewno panu powiedział — zatyka sobie dłoń ustami, ale już jest zapóźno. Patrzą teraz na siebie w milczeniu. Długo i uważnie. A więc to ona. Ta dziewczyna. — Z czegobyśmy żyli. — Dopiero teraz starszy pan rozumie wszystko. Ujmuje Magdę za rękę i milcząc podnosi ją do ust. Pochyla starą, siwą, rasowo zarysowaną głowę nad tą dłonią drobną i wychudzoną. — Proszę pani, ja pani dziękuję, ja... za mego brata. — Ale Magda nie chce opowiadać. Zdaje jej się, że tego, co jest w zakładzie, nie powinna nikomu mówić. Że tu przecież obowiązuje solidarne milczenie wobec wyższych, wobec tych z miasta. Choćby to nawet był brat Romka. Każdy musi wiedzieć za siebie. I Zenon nie nastaje. Widać dosyć i dosyć widział. Magda znosi się znowu ostrym, porywistym kaszlem. Nie może złapać tchu. Kiedy Zenon podaje jej wodę ze stojącej na stole kafełki, spostrzega, że chusteczka Magdy zaczerwieniła się od płynącej z ust krwi. Ale wie już teraz, że nie wolno mu tego zobaczyć. Gdyby to widział, musiałby Magdę zwolnić z pracy. Gruźlikom nie wolno pracować przy dzieciach. Dla ludzi tak kaszlących jest miejsce wszędzie: w sanatorium albo na ulicy, ale nie tu. Zenon pamięta dobrze — Z czegobyśmy żyli. — I nie spostrzega poplamionej krwią chustki. Nauczył się już w ciągu tej nocy, że wiele rzeczy, wiele spraw musi pozostać tak jak jest teraz. Przynajmniej narazie.

Kiedy odchodzi, Magda kaszle coraz silniej. Zenon nie pozwala odprowadzić się do drzwi i tylko ukradkiem podnosi opuszczoną przez Magdę zakrwawioną chustkę. W półmroku chłodnego korytarza składa ją w czerwoną różę i wolno podnosi do ust. I przypomina sobie: pan Czarowic.

Zatrzymuje na ulicy przejeżdżającą roztrzęsioną taksówkę i rzuca adres: dzielnica willowa.

Pan Zenon Chmielewski, kurator Zakładu pod Świętem Wezwaniem, wraca ze swej podróży do nocnej Warszawy i nocnej Polski. Wraca do domu.

JÓZEF KUBICZ

PRZEWRÓT UMYSŁOWY W POLSCE PO R. 1863

I. PODSTAWY GOSPODARCZE

Okres historyczny w Polsce po r. 1863 odznacza się szybkim rozwojem procesów gospodarczych i kulturalnych. Skutki przegranej akcji militarnej powstania styczniowego nie rozłożyły się jednakowo na wszystkie klasy i warstwy społeczeństwa polskiego. Najbardziej ucierpiała średnia i drobna szlachta oraz te grupy mieszczańskie i ludowe, które brały udział w akcji powstańczej; w warstwy te godziły konfiskaty, kontrybucje, przepędzanie z urzędów, zesłania na Syberję lub konieczność emigracji na Zachód. Sytuacja, jaka wytworzyła się w Polsce po upadku powstania, osłabiła gospodarczą pozycję szlachty; ją samą wtrącała w bezradność, apatię, wzmogła ślepy, kurczowy tradycjonalizm, ale jej nie zniszczyła. Szlachta polska posiadała zbyt silne wpływy polityczne w szeregach „czerwonego” mieszczaństwa polskiego, zbyt słabe było radykalne, antyszlacheckie skrzydło mieszczańskie rewolucji, zbyt wiele zależało caratowi, reprezentantowi interesów feudalnych, na utrzymaniu własności szlacheckiej, ażeby antypańszczyźniany ruch mas chłopskich mógł doprowadzić do zajęcia całej ziemi dworskiej i zniesienia własności feudalnej w społeczeństwie.

Zato obronną ręką wyszło z klęski powstaniowej mieszczaństwo polskie. I tu niezmiernie charakterystyczna jest okoliczność, że o ile drobne warstwy szlacheckie i niektóre części średniej szlachty żyły jeszcze przez pewien czas nadziejami powstańczymi, to mieszczaństwo stosunkowo bardzo szybko straciło swe rewolucyjne rożki, które pokazało caratowi w powstaniu, zadowolono się korzyściami rozbudowy przemysłu, „pracą u podstaw” i „trzeźwą” polityką. Przyczyna tej nagłej zmiany frontu politycznego wśród mieszczaństwa polskiego po r. 1863 tkwiła w tem, że obecnie przestały działać bodźce, pod których wpływem mieszczańskie żywiły Warszawy i innych miast szły po torach rewolucyjnej walki z rządem zaborczym. Oto carat, celem „uspokojenia” politycznego mieszczaństwa, zaczął pod naciskiem tej konieczności własnymi rękami wykonywać program mieszczański i stwarzać dalsze warunki dla rozwoju kapitalizmu w Polsce.

Po r. 1863 rząd carski był zmuszony do większego jeszcze, niż przed powstaniem styczniowym, liczenia się z interesami i potrzebami kapitalizmu na terenie b. zaboru rosyjskiego. W r. 1864 dokonano, faktycznie jednak zalegalizowano uwłaszczenie powstańcze chłopów. Uwłaszczenie to stwarzało obszerniejszy rynek wewnętrzny; konsumpcję towarów przemysłowych powiększyły gospodarstwa chłopskie, głównie zamożniejsze, powstałe po uwłaszczeniu. Z wytworów krajowego przemysłu w większym stopniu, niż przed r. 1863, korzystały dwory, pozbawione pracy pańszczyźnianej i zmuszone przejść do kapitalistycznego sposobu gospodarki. Uwłaszczenie zniosło częściowo te przeżytki ustroju pańszczyźnianego, które hamowały dopływ chłopskich sił roboczych do miast i przez to kępowały rozwój przemysłu. Małorolny chłop nie obawiał się już utraty ziemi na rzecz pana, gdy przenosił się do miasta, ażeby zarobkować w fabryce. Obawa ta tworzyła hamulec w odpiwaniu ludności wiejskiej do przemysłu; przed r. 1863 robotnikiem fabrycznym w mieście stawał się zwykle chłop, który nie miał nic do stracenia, jako bezrolny komornik lub chałupnik. Po przeprowadzeniu uwłaszczenia droga do miasta została bardziej otwarta. W swych skutkach gospodarczych szło więc uwłaszczenie po linii tendencji kapitalistycznych, które uwydatniły się w charakterze powstania z r. 1863.

„Reforma ta — pisze Woycicki¹⁾ — bardzo skutecznie wpłynęła na pomyślny rozwój przemysłu. Bezpośrednio jej skutkiem było uwolnienie włościan od znacznych czynszów i wielu milionów dni pańszczyźnianych w roku. Ale dodatnie jej skutki rozciągnęły się na włościan zamożniejszych, posiadających 10—100 morgów ziemi; małorolni zaś otrzymali nie więcej nad 3 morgi. Razem tedy z bezrolnymi wielotysięczna masa małorolnych szukała musiała zajęcia w fabryce, która doskonale wykorzystwała to bezmiarne źródło taniej, swojskiej robocizny”. „Reforma ta miała i drugie ważne dla rozwoju przemysłu znaczenie; przez podniesienie dobrobytu wsi wzmogła nabywcą siłę ludu i niepomiernie rozszerzyła dla towarów rynek wewnętrzny. Po r. 1864 szczególnie zaczął wzrastać popyt na tanie tkaniny bawełniane i wogóle wyroby fabryczne. Oprócz rozszerzenia rynku wewnętrznego bliższego, rozszerzył się też dla wyrobów fabryk królestwa rynek wewnętrzny dalszy...”

Carska ustawa uwłaszczeniowa nie była zatem wymierzona przeciw rzeczywistym tendencjom r. 1863; nie była aktem łaski carskiej²⁾, ale rzeczywistym zwycięstwem, zdobyczą powstania styczniowego. Feudalizm rosyjski nie mógł już zmusić chłopów do wykonywania powinności pańszczyźnianych. Pozostało mu jedynie — po odpowiedniej, do swych celów politycznych przykrojonej, modyfikacji — ogłosić istniejący stan rzeczy, jako stan prawny. Powstała po uwłaszczeniu opodatkowanie wsi uderzyło w chłopską gospodarkę naturalną; zmusiło chłopów do rozszerzenia sprzedaży swych produktów na rynku a więc do zwiększenia produkcji towarowej. Po przez produkcję towarową wieś chłopska wchodziła w ramy ogólnokrajowej gospodarki kapitalistycznej, co

pociągnęło za sobą szybki rozkład małej gospodarki, szybkie różniczkowanie się chłopów na bogatych i biednych, kapitalistów chłopskich i proletariatu, sprzedającego swą siłę roboczą na wiejskim i miejskim rynku towarowym. Przemianę chłopów w proletariatu powiększał zawarty w ustawie uwłaszczeniowej zakaz dzielenia gospodarstw poniżej 6-morgowych włącznie. Przeciwnie kapitalizmowi było nie uwłaszczenie, jako zniesienie powinności pańszczyźnianych, ale zachowanie w ustawie uwłaszczeniowej pańszczyźnianych pozostałości ustroju rolnego. Ustawa uwłaszczeniowa zachowała feudalną własność gruntu, przeważała ją tylko częściowo na chłopów. Uznawała istnienie dworu, przyznając obywatelom władanie najlepszą ziemią, lasami i pastwiskami. Sankcjonowała przytem rozkawałkowanie ziemi chłopskiej pod postacią szachownicy, zatrzymywała t. zw. serwituty (służebności) leśne i pastwiskowe. Stwarzała przytem podstawy do szerzenia półpańszczyźnianego systemu odrobków i zależności chłopów od dworu, utrudniając przejście do czysto kapitalistycznych form gospodarki rolnej. Istnienie owych przeżytków ustroju rolnego świadczyło, że uwłaszczenie z r. 1863 miało charakter połowiczny, kompromisowy; odbyło się kosztem interesów kapitalizmu i mas ludowych. Carat, wykonawca pruskiego sposobu oczyszczania gruntu dla dalszego rozwoju kapitalizmu, w zgodzie z ówczesnymi intencjami burżuazji polskiej, rozszerzył rynek wewnętrzny na wielką własność i bogate chłopstwo kosztem interesów mas chłopskich, które stały się olbrzymim rezerwuarem siły roboczej dla przemysłu, kapitalistycznego folwarku szlacheckiego i gospodarstwa kułackiego.

Powstanie narodowe r. 1863 przegrało, ale interesy kapitalistycznego rozwoju, chociaż poprzez kompromis z gospodarką szlachecką, zwyciężyły. Zaspokajając dążenia gospodarze mieszczaństwa polskiego, carat zmniejszył jego gorączkową temperaturę powstańczą i odsunął od walki zbrojnej, w której pragnęło zrealizować swe cele gospodarze i narodowe. Tu należy szukać źródła nagłego uspokojenia politycznego mieszczaństwa, które zrezygnowało z walki z caratem i na ołtarzu interesu klasowego poświęciło walkę o wyzwolenie narodowe. Tu tkwi korzenie „organicznego” wstępu do zagwałdzającej mózgi „politykomanji”, pogardy dla „wielkiej polityki” i potępienia zasady „nieprzerwalności powstania”. W okresie od r. 1864 do 1880 mieszczaństwo polskie zdobywa dalsze udogodnienia gospodarcze drogą nacisku na carat w ramach wyłącznie legalnych przy zaniechaniu postulatów natury politycznej; nacisk ten zbiegał się z wytycznymi rządu rosyjskiego, dla którego rozbudowa kapitalizmu tworzyła składnik³⁾ programu gospodarczego.

Protekcyjne posunięcia taryfowej polityki celnej z r. 1871, wprowadzenie cła w złocie w r. 1877, co wskutek deprecjacji rubla wywołało skok wzrost cła o 30 proc., a nawet o 40—50 proc. w latach następnych, 10 proc. podwyżka cła w r. 1881, podwyżki tegoż w r. 1882, 1884, 1885 (20 proc.), 1887, 1891, chroniły rynek wewnętrzny przed zalewem towarów z krajów zachodnio-europejskich, głównie z Niemiec i Anglii. Rozbudowa⁴⁾ sieci kolejowej po r. 1863 ułatwiła penetrację towarów przemysłu polskiego na bardziej odległe rynki terytorjum caratu; w r. 1866 powstało połączenie Warszawy z Wołyniem, Podolem i Białorusią, w r. 1870 z Moskwą, w r. 1871 z Kijowem, w r. 1877 z Zagłębiem donieckim. Zwolnienia na zakładanie szkół handlowo-zawodowych (Szkoła Handlowa Kronenberga w Warszawie) szły też po linii interesów rozbudowy nowoczesnego przemysłu kapitalistycznego.

Zdobyte gospodarze powstania styczniowego, polityka gospodarza caratu tworzyły płaszczyznę, na której rozwijała się produkcja kapitalistyczna na terenie b. Królestwa po r. 1863. Powstawały wielkie fabryki, kopalnie, banki i przedsiębiorstwa handlowe. Według danych statystycznych⁵⁾ było na obszarze Królestwa w r. 1870 fabryk 6.513, robotników 63.892, wartości produkcji w tys. rubli 63.943. Odnośne cyfry za następne lata przedstawiają się następująco:

rok	fabryk	robotników	wart. prod. w tys. rb.
1872	7.060	76.616 (r. 1871) ⁷⁾	70.000 (73.000) ⁷⁾
1880 ⁷⁾	—	120.763	171.800
1884	6.580	130.000	210.003
1890 ⁸⁾	—	ca 150.000	240.000
1895	4.965	150.494	228.307
1897	4.890	243.733	505.307

Główną bazę owego rozwoju w 1-leciem dziesięciolecia po r. 1864 tworzył rynek wewnętrzny kraju; jego powstaniu sprzyjał wzrost zapotrzebowania na towary przemysłowe w rolnictwie i rozwój sieci kolejowej, która łączyła zarówno różne tereny kraju pomiędzy sobą, jakoteż obszar Polski z dalszymi połaciami rynków Wschodu. Nie jest w całej rozciągłości prawdziwe twierdzenie R. Luxemburg, że wzrost produkcji przemysłowej w r. 1872 o 135 proc. względnie⁹⁾ o 240 proc. (73.000 tys. rb.) w porównaniu z r. 1857 (wartość prod. w tys. rb. 31.000 wzgl. 21.000) nastąpił głównie w następstwie rewolucji technicznej w środkach komunikacji. R. Luxemburg nie doceniła znaczenia rynku wewnętrznego polskiego i najbliższych ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, którego otwarcie sprawiło, że pomimo niszczącego działania r. 1863-4 i w następstwie czasowego unieruchomienia środków transportowych z

Rosją, nastąpił tak wybitny wzrost produkcji przemysłowej. Bezprzecznie rozwój sieci komunikacyjnej przyspieszył opanowanie rynku wewnętrznego, ułatwił też zdobywanie rynków pozanarodowych na obszarze imperjum carskiego; nie był jednak najważniejszą podniecią do rozwoju produkcji przemysłowej omawianego 10-lecia. Zapotrzebowania konsumpcyjne na towary w Polsce stworzyło dla przemysłu uwłaszczenie z r. 1864. Rozwój sieci komunikacyjnej nastąpił raczej (obok względów strategicznych) pod naciskiem tych potrzeb; dopiero po r. 1870 zostało otwarte połączenie z głębszymi prowincjami Rosji. Dane statystyczne wskazują, że dopóki wystarczał dla rozwoju przemysłu rynek wewnętrzny, „organiczny” kraju, ograniczony przed r. 1863 do sfer gospodarzo lepiej sytuowanych, inwazja polskich towarów po r. 1864 a przed r. 1872 na obszary Rosji i dalekiego Wschodu, pomimo eksportowej tradycji sprzed r. 1863 (wpływ wojny krymskiej), nie była zjawiskiem typowym produkcji przemysłowej; wystąpiła też jaskrawo dopiero pod koniec lat 80-tych (1875).

Do r. 1870 przemysł polski przetrwał się z rekedziela w wielką produkcję kapitalistyczną. Około r. 1870 pojawiły się przemysłowe spółki akcyjne¹⁰⁾, powstał szereg nowych banków, kas, towarzystw kredytowych. Po r. 1870 przemysł Królestwa zaczął rozwijać się po torach wybitnie wielkoprzemysłowych i wielko-handlowych. Średnie mieszczaństwo przekształcało się w wielką burżuazję przemysłową. W przekształceniu tem ważny jest nie tylko liczebny, bezwzględny wzrost wielkomieszczaństwa, ale także zmiany zachodzące w jego stosunku do produkcji gospodarczej.

W latach pięćdziesiątych najbardziej postępową gałąź przemysłu, przemysł tekstylny pracował przeważnie¹¹⁾ ręcznie bez pomocy siły parowej i posługiwał się wykwalifikowanymi rzemieślnikami oraz terminatorami, pomijając równocześnie w zatrudnieniu gospodarzem manufaktury kobiety. Razem z rzemieślnikami i terminatorami pracował zwykle pod wspólnym dachem właścicieli przedsiębiorstwa. Podobny stan rzeczy panował jeszcze w latach sześćdziesiątych. W r. 1857 istniało na terenie Królestwa 12.542 fabryk, zatrudniających 5.364¹²⁾ robotników; przeciętnie dawało to 4-5 robotników na fabrykę. Przyjąwszy wartość produkcji 21 milj. rb., względnie 31 milj. rb., otrzymamy, że na 1 fabrykę przypadało 1.700 względnie 2.480 rubli. Niski skład organicznego kapitału nie pozwalał na zwolnienie właściciela od pracy osobistej w warsztacie. Temu stanowi rzeczy sprzyjał słaby rozwój bankowości i brak spółek akcyjnych, co utrudniało dopływ kapitału pieniężnego w dziedzinę produkcyjną, w następstwie też proces akumulacji i koncentracji kapitału, a zmuszało posiadacza kapitału pieniężnego do inwestycji produkcyjnej na własną rękę. Przedsiębiorca łączył wówczas w swej osobie w większości wypadków dwóch ludzi: kapitalistę-wyzyskiwacza i zawsze gospodarzo pożytecznego kierownika technicznego produkcji. I jak długo istniało to zespolenie w większości produkcji przemysłowej, tak długo własność burżuazyjna była niczem niezastąpiona, historycznie konieczna i postępową. Ale już w omawianem dziesięcioleciu zjawyły się jaskółki dalszych przemian gospodarczych. W r. 1854 powstają wielkie zakłady włókiennicze Scheiblera w Łodzi o 100 mechanicznych krosnach i 18 tys. wrzecion; w r. 1857 Żyrardów z manufaktury przemienił się w wielką mechaniczną fabrykę. Zwiększony organiczny skład kapitału czynił tu zbyteczne osobiste, ręczne uczestnictwo kapitalisty w produkcji gospodarczej. Przedsiębiorca zaczyna zajmować się wyłącznie stroną handlową, finansową, dozowaniem przedsiębiorstwa itp. Poprzednie jego funkcje biorą na siebie wykwalifikowani rzemieślnicy, technicy, inżynierowie, w zależności od stopnia koncentracji kapitału i uwarunkowanego przezeń społecznego podziału pracy. Pod znakiem tych przemian gospodarczych idzie silnie 7-me dziesięciolecie. Z liczby wielkich fabryk, które znalazła w Polsce ankietą z r. 1886¹³⁾, 13,9 proc. powstało w okresie 1860—1870; wzrósł też prawie dwukrotnie stopień koncentracji kapitału. Jeżeli w r. 1857 na 1 robotnika przypadało 375 rb. (względnie 541 rb.), a na 1 fabrykę 1.700 rb. (wzgl. 2.480), to w r. 1871 już 882 rb. i 3.239 rb.¹⁴⁾. Przedsiębiorca przestawał pracować ręcznie; nadzór techniczny przelewał na siły wykwalifikowane. Ale zachowywał jeszcze ogólny nadzór nad fabryką, trzymał w swych rękach handlowo-finansowe interesy przemysłu i posiadał jeszcze osobistą styczność z personelem technicznym fabryki. W osobie przedsiębiorcy łączyło się jeszcze dwóch ludzi: gospodarzo pasorzytnicy i historycznie przejściowy właściciel środków produkcji oraz gospodarzo zawsze konieczny administrator. Ósme dziesięciolecie utrwaliło i rozszerzyło ów stosunek wytworczy na zdecydowaną większość polskiej burżuazji przemysłowej. W okresie tym powstało 29 proc. wielkich fabryk, istniejących w r. 1866. Wzrosła równocześnie koncentracja i centralizacja kapitału, tworząca ekonomiczną podstawę dla stosunku przedsiębiorcy do produkcji gospodarczej; w r. 1880 na 1 robotnika przypadało już 1.422 rb.¹⁵⁾, a na 1 zakład 8.063 rb. Praca ręczna właściciela-kapitalisty znajdowała miejsce w dalszych warstwach mieszczaństwa, wyrastających z rzemiosła. Nowym zjawiskiem było zupełne oderwanie przedsiębiorcy od produkcji gospodarczej. Po zerwaniu związku

z procesami technologicznymi produkcji w 7-mym dziesięcioleciu i rozszerzeniu go w 8-mym zarysował się skoły proces zrywania związku z ludzką obsługą techniczną. Kapitalista-administrator przemieniał się w idealnego kapitalistę, który obcinał kupony, pobierał procenty od kapitału, zwalając prowadzenie przedsiębiorstwa na dyrektorów i podległy im personel techniczny. Przemianę tę ułatwiło powstanie spółek akcyjnych i rozwój bankowości, które oddawały wielkie ilości kapitału pieniężnego do dyspozycji kapitału przemysłowego. W ten sposób walka dwóch dusz w kapitaliście okresu „organicznego” w Polsce, pasorzytniczej i produktywniej, zakończyła się zwycięstwem pierwszej. Przemysłowiec na terenie b. Królestwa, zmieniając oblicze gospodarce kraju, zmienił równocześnie sam siebie. Zjawisko to, poprzedzone wielką akumulacją kapitału po r. 1877¹⁶⁾, zyskało na jaskrawości w latach dziesięćdziesiątych i następnych.

O przemianach tych pisze Marx („Das Kapital“ I.; rozdział o kooperacji):

„Kapitalista uwalnia się od pracy ręcznej, gdy tylko kapitał jego osiąga do minimum, przy którym staje się możliwa produkcja kapitalistyczna we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Podobnie i funkcja (czynność) bezpośredniej i stałej kontroli nad poszczególnymi robotnikami i grupami robotników przechodzi potem (podkreślenia J. K.) do odrębnej kategorii robotników najemnych. Jak armia wymaga hierarchii komendantów wojskowych, tak i masie robotników, zjednoczonych wspólną pracą pod komendą kapitału, trzeba oficerów przemysłowych (zarządzający — menagers) i podoficerów (majstrowie, foremen, overlookers, contramaitres), którzy zarządzają w przebiegu pracy w imieniu kapitału. Praca nadzoru, kontroli wyodrębnia się, jako ich funkcja specjalna”.

W podobnym kierunku, chociaż nierównocześnie i nierównomiernie, zmierzały przemiany w obrębie kapitału bankowego i handlowego. Ich punktem wyjścia było osobiste uczestnictwo kapitalisty w pracy np. przy księgowaniu w banku czy podczas oddawania towaru w ręce kupującego. Końcowym etapem owych przemian stało się zupełne oderwanie się kapitalisty od pracy zarówno fizycznej, jak i umysłowej; wyręczał go dyrektor, biuraliści, urzędnicy, księgowi, kierownicy oddziałów handlowych, subjecci i t. d. Proces zyskał na jaskrawości po r. 1880, w okresie wzmoczonej koncentracji kapitału.

„Dwoistość natury”, istniejąca w osobie kapitalisty okresu 1864—1880, przeszła pod koniec lat 80-tych i w 9-tym dziesięcioleciu na personel techniczny kapitalizmu; personel ten z jednej strony zastępował idealnego kapitalistę, z drugiej zaś pełnił funkcje społecznie niezbędne, związane z istnieniem i rozwojem produkcji fabrycznej.

Stwierdzenie przemian w stosunku kapitalisty do produkcji gospodarczej stwarza trwałe oparcie do ustalenia związku przyczynowego pomiędzy niektórymi cechami psychicznymi człowieka a ekonomją, determinującą jego sposób bytowania; mieszczaństwo, które pracowało ręcznie, wyrabiało sobie uzdolnienia i odpowiednie zamiłowania w obrabianiu rzeczy; administrując w fabryce, nabywało umiejętność w obcowaniu z ludźmi a w parze z niem odpowiednich uzdolnień i zamiłowań „osobowych”; zupełnemu oderwaniu się od produkcji gospodarczej towarzyszył zanik uzdolnień „rzeczowych” przy równoczesnym wzroście nastawienia na operacje werbalno-logicznego charakteru, wzroście zamiłowań do obcowania w świecie myśli. Przekształcający wpływ opisanych warunków ekonomicznych objął też i sferę fizjologiczną; najjaskrawiej uwidocznił się w przejściu od pracy fizycznej do pracy przeważnie umysłowej. Rzucając światło na przemiany psychiczne, metamorfozy w stosunku kapitalisty do produkcji gospodarczej pozwalają skoły wyjaśnić powstanie niektórych haseł kulturalnych w okresie od r. 1864 do r. 1880; mieszczaństwo polskie rehabilitowało pracę ręczną, zawodowość i t. d., ponieważ samo jeszcze brało osobiście udział w produkcji gospodarczej albo odczuwało żywo jeszcze tradycję owego udziału¹⁷⁾.

Rozwój przemysłowy w Polsce po r. 1863 zmienił z gruntu pozostałe dziedziny życia gospodarczego. Uruchamiał i kształtował rozwój rzemiosła, przekazując mu mniej, przy ówczesnym stanie techniki, zmechanizowane sfery produkcji; włączał do pracy w przemyśle kobiety i młodocianych. Około r. 1886¹⁸⁾ liczba kobiet w przemyśle włókienniczym wynosiła około 50% całego personelu fabrycznego. Oddziaływał też na położenie gospodarcze szlachty polskiej; przede wszystkim wchłonięła w swój aparat tę część szlachty, którą zubożyło uwłaszczenie chłopów i represje popowstaniowe. Jest to okres upadku pewnej części gorzej gospodarowanych majątków, wskutek parcelacji i spekulacji handlowej ziemią; w latach 1865—1869 uległo sprzedaży około 150 dóbr¹⁹⁾ ziemskich na terenie Królestwa; nie będąc zdolna do prowadzenia gospodarki rolnej według wymagań produkcji kapitalistycznej, część szlachty sprzedaje majątki i pragnie „dorobić się” na przemyśle. Lata od r. 1864—1874 tworzyły okres, w którym szlachta polska gromadnie rzuciła się do handlu lub fabrykacji przemysłowej. Drobniejsza szlachta znalazła zatrudnienie w bankowości, komunikacji, zasiliła również szeregi fabrycznego proletariatu.

Gdy rozbite skutkami gospodarczymi uwłaszczenia chłopów i politycznych represji popowstaniowych warstwy szlacheckie szukały ratunku w przemyśle, pozostała ziemiańska szlachta usiłowała nagiąć produkcję rolną do potrzeb produkcji kapitalistycznej; zastosowała sy-

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

DYSKUSJE NIBY-LITERACKIE

Sztandarowym hasłem oficjalnej, dobrze sytuowanej literatury jest — jak to wiadomo powszechnie — „późnooklasowość” i „neutralność” w starciach społeczno-politycznych. Odrzucając to hasło, jako oparte w znacznej mierze na samookłamywaniu się i nieszczerości, można przecież uznać jego życiową i praktyczną wartość. Niepodobna bowiem zaprzeczyć, że ochronne barwy piarskiego elitaryzmu w zetknięciu z przykrą dziś prawdą rzeczywistości zabezpieczają — wśród zmiennych koniunktur — od trosk i komplikacji osobistych, pozwalają trwać na pozycjach wygody i dobrobytu, nie narażają na niespodzianki w rodzaju przymusowych podróży w rymsztunku równie wyjątkowym jak symbolicznym.

Tylko że wytrwać konsekwentnie w ciepłym i zacisznym kręgu „apolityczności” — nie jest to prosta i łatwa sztuka. Nadejdzie jakaś okazja, zdarzy się to czy owo — i z ochronnie izolującego, „neutralnego” worka wyjdzie naraz sztywno istotnych poglądów, sympatyj, dyspozycji. Dzieje się to naogół bez czynniejszego udziału ośrodków świadomości; poprostu, tłumione uporczywie

stem pracy najemnej, mechanizowała uprawę roli, zajęła się t. zw. kulturami technicznymi. Proces ten postępował po r. 1863 milowiem butami; gdy w r. 1860 było na terenie b. Królestwa Kongresowego 9 fabryk maszyn rolniczych, w r. 1885 liczyły się ich już 54²⁰⁾. Około r. 1875 ziemiaństwo polskie zdołało przyswoić sobie kapitalistyczny sposób wytwórczości i oswoić się z hasłami ówczesnego postępu gospodarczego. Przemianę tę ułatwiło utworzenie się wewnętrznego rynku zbożowego wskutek rozwoju przemysłu, korzystna koniunktura eksportu zbożowego na Zachód, inflacja pieniądza, wzrost cen ziemiopłodów i ceny ziemi, trwający przez kilkanaście lat po r. 1864.

Rozwój produkcji kapitalistycznej po upadku powstania styczniowego nie usunął, zgodnie ze swymi prawami, przeciwności interesów między wielką własnością a przemysłem; stały wzrost cen ziemiopłodów zwiększył przeciwieństwo między rentą gruntową a kapitałem przemysłowym, zainteresowanym w tanich środkach żywności i niskiej cenie ziemi. Zarysowały się przeciwieństwa między interesami kapitalistycznego producenta maszyn a interesami odbiorców-ziemian, między kapitałem bankowym, występującym w roli wierzyciela, a ziemiaństwem, które zadłużało się w celu reorganizacji technicznej rolnictwa. Szczególnie we znaki dawała się odbiorcom ziemiańskim, zwłaszcza w siódmym dziesięcioleciu, wysokość cen towarów przemysłowych²¹⁾, niewspółmierna z cenami płodów rolnych, jak przemysłowcom wzrost cen zbożowych do r. 1876. Dochodziły tu również do głosu przeciwieństwa o charakterze społecznym, wyrastające z interesów produkcji kapitalistycznej. Oto powstawały mieszczańskie gospodarczo-społeczne instytucje, stowarzyszenia, które domagały się „prawa obywatelstwa”. Samorząd wiejski a następnie i mniejszych miast należało również podporządkować interesom przemysłu i usunąć zeń wpływy wrogie industrializacji, konserwatywne.

Wymienione przeciwieństwa tłumaczą częściowo, dlaczego mieszczaństwo musiało stawiać się okoniem szlachcie polskiej po r. 1864 i dlaczego ziemiaństwo ze swej strony musiało przeciwstawiać się „cywilizatorom”. Nie wystarczają jednak do całkowitego wyjaśnienia przyczyn, które wywołały walkę kulturalną. Walka ta musiałaby wystąpić niezależnie od kształtowania się cen, niezależnie od doraźnych przeciwieństw gospodarczych pomiędzy różnymi grupami burżuazji miejskiej a ziemiaństwem, przemieniającym się z feudałów w burżuazję. Wymagały jej podstawy mechanizmu kapitalistycznej gospodarki, która sprawnie mogła funkcjonować dopiero po uprzednim, należytem naoliwieniu kulturalnym. Przeprowadzenie tej walki tworzyło składnik „misy” dziejowej burżuazji, jako klasy, w okresie przejścia od manufaktury do produkcji wielkoprzemysłowej.

Józef Kubiec

¹⁾ A. Woycicki: Dzieje robotników przemysłowych w Polsce. Warszawa 1929, str. 191. ²⁾ Nie azjatyckiemu absolutyzmowi zawdzięcza burżuazja polska w s w s t k i e swe możliwości rozwojowe, ale też własnej walce o nie i antypan-szczyńnianemu ruch mas ludowych (1863). Por. zupełne zlekceważenie tendencji burżuazyjnych powstania styczniowego w książce H. S. Kamińskiego: Pół wieku literatury polskiej. I. C. W. Z. S. R. R., Moskwa, 1932, str. 19. ³⁾ Rosa Luxemburg: Die industrielle Entwicklung Polens, Leipzig. Verlag von Duncker Humblot, 1898, s. 71. ⁴⁾ tamże, str. 15. ⁵⁾ tamże str. 11. ⁶⁾ W. Feldman: Dzieje polskiej myśli politycznej w okresie porobiziorowym, Warszawa, 1920, str. 10; według St. A. Kempnera (Rozwój gospodarczy Polski od Rozbiorów do Niepodległości. W-wa, 1924) ilość fabryk na terenie Królestwa rosła do r. 1871. ⁷⁾ i ⁸⁾ R. Luxemburg, l. c. str. 16-17. ⁹⁾ tamże, str. 11. ¹⁰⁾ St. A. Kempner: Dzieje gospodarcze Polski porobiziorowej. W-wa, II., str. 290. ¹¹⁾ R. Luxemburg, str. 8. ¹²⁾ tamże. ¹³⁾ tamże, str. 16. ¹⁴⁾ tamże. ¹⁵⁾ tamże, str. 17. ¹⁶⁾ tamże, str. 15. ¹⁷⁾ Składniki kultury podlegały „materjalizacji” w piśmie i druku; stąd można badać przy pomocy metod nauk historycznych. Ponieważ składniki te wskazują istnienie określonych, należących do historii, cech psychicznych (uzdolnień, zamiłowań i t. d.), które swej podstawy, dlatego mogą one ułatwić izolowanie cech psychicznych, którymi dysponował człowiek w dziejach; będzie to metoda wnioskowania z cech kultury o cechach psychiki. ¹⁸⁾ R. Luxemburg, str. 16. ¹⁹⁾ L. Górski: Wybór pism. Warszawa, 1908, str. 547. ²⁰⁾ R. Luxemburg, str. 26. ²¹⁾ tamże, str. 13-14.

kompleksy pojęciowe odzyskują w pewnej chwili prężność i siłę w takim stopniu, że — przebijając skorupę pozorów — dochodzą do głosu i ujawniają swoją zawartość. Przebieg to całkiem zrozumiały, sam w sobie ani zły, ani dobry, godny jednak uwagi i zanotowania, zwłaszcza w epoce dziejowych intermedjów, wymagającej nieubłagane wartościowania spraw i rzeczy według ich rzeczywistej treści.

* * *

W jednym z ostatnich numerów „Wiadomości Literackich” p. Jan Parandowski, bardzo kulturalny eseista i doskonały wśród pisarzy polskich znawca antyku, wydrukował krótką recenzję z wydanego niedawno tomu szkiców de Lacretele'a („L'ecrivain public”). I tak się jakoś dziwnie zdarzyło, że prawie cała notatka sprawozdawcza omawia tylko jeden z zawartych w zbiorze szkiców, a wszystkie cytaty z tego właśnie szkicu zostały zaczerpnięte lub są z jego treścią ściśle związane.

De Lacretele odbył urzędowo-propagandową przejażdżkę do Włoch — zachwycił się mussolinizmem. I oto p. Parandowski cytuje — dość skwapliwie — za de Lacretelem: „Co przedewszystkiem (!) w dzisiejszych Włoszech spostrzega oko pisarza, to piękny manewr wykonany nad duchem ludzkim. Cały naród zamagnetyzowało jedno spojrzenie i zmusiło go do wiary w swój los. Miljonom istot jeden palec wskazał kierunek wielkości”... P. Parandowski nazywa to „intymną i wykwintną pochwałą dyktatury”, a że ta pochwała przypada mu widocznie do gustu, dodaje od siebie: „Miałem sposobność przekonać się nieraz, że świetna organizacja i wielki rozmach państwa Mussoliniego wydobywają u Francuzów westchnienia, po których zaczyna się utyskiwanie na rodzinny bałagan”... Wygląda więc, że p. Parandowski — „bezpartyjny” i „neutralny” artysta słowa — dość sobie śmiało sławi i wychwala najzupełniej partyjny, polityczny i klasowy regime Mussoliniego. „Neutralność” osłępla w tym wypadku na jedno oko.

Sądzę jednak, że te „wykwintne i intymne” pochwały dyktatury powinny być poparte szeregiem danych faktycznych i cyfrowych. W charakterze ilustracji „wielkiego rozmachu” nadawałyby się tu bardzo cyfry o wewnętrznym i zewnętrznym zadłużeniu Włoch faszystowskich, o stałym wzroście miliardowych deficytów budżetowych i stałym spadku realnych płac robotniczych i t. d., i t. d. O „drobiazgach”, w rodzaju masowych procesów politycznych, deportacji, mordów sądowych i niesądowych, nie będę się rozwodził, nie chcąc obrażać intymnych uczuć i subtelnych gustów gloryfikatorów dyktatury włoskiej. Kropkę nad i postawi najlepiej sam Duce, który w rozmowie z korespondentem hitlerowskiego „Völkischer Beobachter” powiedział niedawno: „Demokracje przeżyły się. Są one dziś świadomości lub nieświadomości ogniskami zarazy, nosicielami mikrobów i pomocnikami bolszewizmu”... Ponieważ „Wódz ma zawsze rację”, więc — „Precz z demokracją, niech żyje faszizm!”

P. Parandowski jednak nie chce iść tak daleko. To też po gorących pochwałach dla Włoch faszystowskich, cofa się skwapliwie i — dyskretnie na „neutralne” pozycje, przytaczając zdanie de Lacretele'a, „które nas poniekąd uspokaja”. Jakież to zdanie działać ma zbawienie i kojąco?... „Radzę pisarzowi nie żeby wyruszał do walki, gdzie traci czas i marnuje swą sztukę, ale żeby sądził rzeczy w swem sumieniu, nie porzucając swej pracy”... Naturalnie, lepiej, żeby nie wyruszał do walki, bo gdzie walka, tam niebezpieczeństwo, a więc poco się narażać?

Podobno Flaubert — tak mówi p. Parandowski — „grubym stołarskim ołówkiem wypisywał na ławkach przedziałów kolejowych obelgi na Gambette, lecz ani jednego zdania swej wspaniałej prozy nie poświęcił na ocenę polityki bieżącej”... Mniejsza o te anegdotki, ale faktem jest, że autor „Panji Bovary” tą właśnie książką zadał kultuństwu cios, zaiste, straszliwy i już przez to samo wdał się skutecznie, choć pośrednio, w „ocenę polityki bieżącej”. Rewolucjonizując rolę „Panji Bovary” możnaby w pewnym sensie przyrównać do takiejże roli „Wesela Figara”, uwzględniając, oczywiście, odmienność epok, nastrojów społecznych i — środków artystycznych.

Przeciw łupieżowi i wypadaniu włosów

tylko

OLEUM PETRAE „GLIMAR“

preparat zbadany z wynikiem dodatnim na klinikach dermatologicznych i przez licznych lekarzy-specjalistów, polecany na podstawie doświadczeń naukowych i praktycznych.

Łuszczenie się naskórka po użyciu

OLEUM PETRAE „GLIMAR“

dowodzi, że nadmiar tłuszczu wymaga wielokrotnego stosowania preparatu aż do zupełnego zaniku łupieżu.

Żądać w aptekach i perfumeriach

OLEUM PETRAE „GLIMAR“

wraz z orzeczeniami lekarskimi.

nich. Dykteryjka o napisach przeciw Gambecie wydaje się mało prawdopodobna, skoro Gambetta był — jak wiadomo — radykałem i antyklerykałem. Jeśli jednak Flaubert naprawdę czynił to, co przypisuje mu p. Parandowski, nie byłoby się czem zachwycić ani delektować. Uczciwa walka z otwartą przyłbicą jest rzeczą, bezwzględnie, o całe niebo szlachetniejszą i piękniejszą, niż zasmarowywanie obelgam ławek czy toalet kolejowych.

Czyż mógłby mieć ktoś jeszcze wątpliwości co do tego, że zarówno de Lacretelle jak i p. Parandowski stoją zdala od „oceny polityki bieżącej”?.. Chyba — nie. *Quod erat ad demonstrandum.*

Na inny znowu sposób daje wyraz swym prawdziwym poglądom p. Stefan Kawyn w nowopowstałym czasopiśmie „Lwów Literacki”. Tutaj obrona pozycji „neutralności” i maskowanie całkiem określonych tendencji polityczno-społecznych odbywa się wśród dymnych zasłon burzliwego i gwałtownego — antyintelektualizmu. Omawiając jedną z głośniejszych powieści polskich, p. Kawyn snuje takie oto mętne wywody: „Zagadnienie Teofila (bohatera powieści Parandowskiego „Niebo w płomieniach”) — to zagadnienie epoki przedwojennej, której ton nadawał intelektualizm, kult dla wiedzy, metod naukowych, naukowych poglądów na świat, z podstawowym jego postulatem: metodycznym sceptycyzmem. Była to epoka rozumienia świata, epoka statyczna, ale nie epoka chęci jego przekształcenia, epoka dynamiczna. Lecz u nas, żyjących wtedy w zależności od woli obcej, chęć ta była żywa; intelektualizm tej epoki wraz z jego konsekwencjami stawał się sankcją tej obcej woli (?!)... Wyzwolenie się spod jarzma intelektualizmu dokonało się u nas wtedy na drodze uznania starych prawd romantycznych: „czucia i wiary”. Wyzwolenie się z niewoli politycznej drogą czynu zbrojnego”.

Z tych nie grzeszących naogół nadmiarem jasności rozważań wywnioskować jednak można, że p. Kawyn jest wrogiem intelektualizmu i wyznawcą mistyki t. zw. prawd romantycznych. Zrozumieć tylko niepodobna, dlaczego to intelektualizm epoki przedwojennej „stawał się sankcją obcej woli”. Austriacka kielbasa wyborcza i narjotyzm czarno-złoty, hakata i wóz Drzymały, Sybir i szubienice dla bojowców socjalistycznych — czy te wszystkie niewątpliwe manifestacje „obcej woli” miały cokolwiek wspólnego z jakimkolwiek intelektualizmem?.. Dlaczego więc i na jakiej podstawie wszystkie zbrodnie „obcej woli” i jej fatalne dla Polaków „sankcje” przypisywać akurat — intelektualizmowi? A poza tem: „prawdy romantyczne” swoją drogą, ale „czuciem i wiarą” z armat się nie strzela, a więc wyniosłe lekceważenie p. Kawyna w stosunku do wiedzy, metod naukowych i t. d. jest śmieszne i niczem nieuzasadnione.

Ku końcowi recenzowanej tu recenzji zaczynamy jednak rozumieć, jaki jest sens tych antyintelektualnych zawilości i o co wogóle p. Kawynowi chodzi. „W oczach naszych — pisze p. Kawyn — kończą się pewne światy myśli. Gaśnie świat intelektualizmu, mija czas rozumienia świata(!), nadchodzi czas jego przemiany na drodze czynu. Wzmaga się potrzeba wiary. Na zagadnienia życia ludzkiego pada refleks religijny poglądu, Teofil z r. 1936 porzuca „Szkice sceptyczne” Bertranda Russella, a zachwyca się „Nowem Średniowieczem” Mikołaja Bierdiajewa... Teraz już wiemy, poco stacza p. Kawyn te donkiszockie boje z intelektualizmem, w jakim celu propaguje „wiarę”, „prawdy romantyczne” i t. p. Ale — w imię logiki — jedno zapytanie: Jak można przemienić świat bez jego rozumienia?..

Zapewnienia p. Kawyna co do upodobań Teofila z r. 1936 są z gruntu fałszywe i mylne. Wprawdzie Teofil z r. 1936 jest systematycznie i z wielu stron ogłupiany, tem niemniej każdy inteligentniejszy Teofil dążyć będzie zawsze do prawdy, światła i wiedzy, i wbrew kusielskim szepotom p. Kawyna nie będzie się „zachwycał” ani nowem, ani starem — średniowieczem. „Przeżyte kształty” nie wracają nigdy do istnienia — i tego nie zmienia żadne nawoływania chwalców epok minionych i ustrojów doszczętnie zbankrutowanych.

Otto Bauer, rozważając w swej nowej książce („Między dwiema rewolucjami”) skomplikowane zagadnienie kryzysu kultury mieszczańskiej, omawia m. in. sens i znaczenie „romantycznej krytyki kultury burżuazyjnej”. Krytyka tego rodzaju nie patrzy w przyszłość, ale — wstecz. Występując przeciwko anarchji kapitalistycznej, krytyka „romantyczna” nie daje pozytywnych i twórczych rozwiązań, lecz zmierza drogami, wiodącymi do restytucji średniowiecznych (właśnie!) i feudalnych form społecznego przymusu, trafiając wreszcie z konieczności do obozu — faszyzmu. Tak więc w „romantycznej” krytyce kapitalizmu kryje się niebezpieczne — reakcyjne i kontrrewolucyjne — żądło, które w rezultacie wzbogaca arsenał środków propagandowych doktryny faszystowskiej. Obłudny „romantyzm” — zamiast wskazywać drogi społecznego wyzwolenia — staje się pułapką dla naiwnych, których pragnąłby doprowadzić pod jarzmo. Piorunuje się przeciw wiedzy, metodom naukowym, sceptycyzmowi i temu wszystkiemu wogóle, co było treścią wieku liberalnej burżuazji, ale poto tylko, by przygotować ideologiczny teren pod niewolę haniebniejszą niż dotychczasowa, by ułatwić i przyspieszyć przejście do nowego... średniowiecza..

Właśnie te „kryzysowe” komentarze Bauera przypominałem sobie, gdy zastanawiałem się nad właściwym sensem akrobacji myślowych p. Kawyna.

Bolesław Dudziński

JERZY BOREISZA

POWRÓT TORQUEMADY



chorobotwórczych, hodowlę wszelkiego zła: demokrację... Bo liberalizm, to przedpole, na którym zwycięża najpodlejsza zaraza dwudziestego wieku... A jak powiada mój filozof: „Musimy przejść przez nową barbarję średniowiecza, nową dyscyplinę, nową ascezę religijną, wrócić do mrocznych zaczątków średniowiecza, zanim ujrzymy świt nowego, poprostu niewyobrażalnego renesansu...”

Tako rzekł Don Kichot owej nocy — czytamy w pamiętnikach sir Williama Turnera — gdy Anna Burns poczuła pierwsze bóle porodowe. A gdy jęk Anny, jak skowyt psa, zrywającego się z łańcucha, dobiegł trzech rozmówców, właśnie przerwał Hamlet temi słowy płomienną mowę Don Kichota:

— Wasza Dostojność kreśli zaprawdę obraz przeczudowny. Co za piękna inscenizacja widowiska. Ale czemu to, Mości Rycerzu Błędny, zawsze w parze idą twe pomysły z nieuctwem. Wołasz o powrót wielkiego inkwizytora! Imponuje ci Torquemada, który naprzekór historii utrwalił kościec obumierającego ustroju! Pojmuję, że właśnie dziś, gdy naród twój burzy dzieło Torquemadów, gdy pragnąc urzeczywistnić hasło wielkiego Joaquina Costy²⁾, chce „zawrzeć na trzy spusty grób Cyda”, gdy — że wspomnę słowa Miguela Unamuny — „stargany i rozczarowany naród hiszpański usiłuje wyzdrowieć”, tak samo jak wyzdrowiałeś ty, Don Kichocie, przed swą pierwszą śmiercią, gdy naród twój usiłuje precz odrzucić mit zgnojonego feudalizmu — teraz oto śnisz o nowym Torquemadzie!

Ale czemuż to w poczet wielbicieli średniowiecza zaliczasz również dominikanina Gieronimo Savonarolę? Zali ten wielki patriota, który lud swej Florencji nade wszystko ukochał, ten, co w swych kazaniach wołał: „Oto lud budzi się, przeciera oczy; zgłodzeni nędzarze domagają się swobody, spokoju i sprawiedliwości, a więc

tego, o czem nie marzyli nawet ich ojcowie³⁾, zali ten, co ascezę narzucał nie tylko masom, ale również i możnym tego świata — zali on, powtarzam, ma być szanowanym mężem reakcji?

Marat: Słusznie, obywatelu Hamlecie, przeciwstawiasz dominikanina Gieronimo Savonarolę dominikaninowi Torquemadzie. Coprawda nie wyrwał się Savonarola całkowicie z pęt średniowiecza. W pewnej mierze był prekursorem reformacji, jeśli w niej doszukiwać się będziemy, w przeciwieństwie do humanizmu, nawrotu do wiary. Savonarola, jak większość ludzi odrodzenia, nie był z jednej bryły odlany. Co do mnie, szukałbym w nim przedewszystkiem, poraz pierwszy może w tak wyraźny sposób w czasach nowożytnych zarysowanego, nurtu plebejskiego walki o demokrację...

Nie zapominaj bowiem o tem, że humanizm przyniósł również pierwszy powiew współczesnej demokracji. Humanista hiszpański, Sebastian Fox Morcillo, twierdził, że „najbardziej cywilizowane ludy spośród wszystkich form panowania przekładają demokrację”, zaś mnich Alonso de Castrillo w swoim „Tratado de Republica” utrzymywał, „że wszyscy ludzie rodzą się wolnymi i równymi...”⁴⁾ Nawet inkwizycja nie zdołała zdusić tych głosów humanizmu hiszpańskiego.

Don Kichot: Powtarzasz nadal, Maracie, stare banialuki o inkwizycji, podczas gdy najnowsze badania wykazały, że inkwizycja nie była tak potworna, jak to potem starano się przedstawić. Przecież właśnie epoce inkwizycji zawdzięcza ludzkość tak wspaniałe dzieła sztuki.

Marat: Znam, Don Kichocie, te próby odbronzowienia inkwizycji. Rozumiem bezinteresowność i obiektywizm tych usiłowań, właśnie dziś, gdy o powrót Torquemady kopje kruszycie... Ale sztuka niezawsze idzie równocześnie z ustrojem politycznym. Czasem wyprzedza nowy ład, czasem zbiera tylko odpadki ze stołu przeszłości, nieraz jest jakgdyby podziemnym nurtem, wydobywającym się tą drogą, szukającym tu swego ujścia...

Nie zapominaj pozatem, przyjacielu Don Kichocie, że wielka inkwizycja nie posiadała jeszcze tak udoskonalonych metod totalnych, jakie przyniósł dopiero wiek XX-ty. Duch wolny potrafił zamaskować się, szukać dla siebie ujścia. Czy pamiętasz, jak to heretyk portugalski Damian de Goes rozmawiał we Włoszech z jezuitą Simonem Rodriguezem, towarzyszem świętego Ignacego; zapytał jezuita heretyka: „Cóż poczniesz, gdy



Ilustrował BRONISŁAW LINKE

wrócisz do Portugalji?" Odrzekł na to de Goes: „Będę odprawiał mszę i spowiadał się, jak inni, ale w głębi duszy zachowam swe przekonania...”

A gdy podówczas uczniowie Fray Luis de Granada uskarżali się, że rumor uliczny przeszkadza im w słuchaniu wykładu, odrzekł na to dominikanin: „Tem lepiej, toteż panowie inkwizytorzy nas nie usłyszą...”⁽⁵⁾ Tobie, Don Kichocie, również lepiej niż innemu wino być wiadome, że Cervantes nie był człowiekiem inkwizycji, jeno odrodzenia. O, nie w poczet zasług inkwizycji należy zaliczyć rozkwit sztuki...

Wybacz, obywatelu Hamlecie, że odbiegłem od mego tematu. Powtarzam: plebejski nurt walki o demokrację znalazł swój wyraz właśnie we Florencji. Ten nurt ludowy trwa po dziś dzień. Tylko wtedy, gdy demokracja oparła się o siłę ludu, zdołała skutecznie się obronić. Toteż dziś, gdy groźna nawała reakcji nadciąga, ja, Marat, przyjaciel ludu wołam: podaj mi rękę...

Don Kichot: Książę Hamlecie, co czynisz? Wasza królewska mość chyba nie da wiary tym zapewnieniom Marata! Ta ręka, rzekomo przyjaźnie wyciągnięta, wkrótce się w pięść zamieni, palce tej ręki wnet się wokół twej szyi zewrą, zechcą cię udusić. Zali nie poznajesz się na planach machiawelskich Marata? Dziś chętnie obrońcę demokrację udaje potę, by tę demokrację swą dyktaturą rozsądzić. Jaśnie Wielmożny Panie, sam stryżek na swą szyję nakładasz. Albowiem pamiętaj, że liberalizm jest przedpołem zwycięstwa zarazy...

Hamlet: Niezmiernie wdzięczny jestem acanowi za ten nadmier troski o moją skromną osobę. Jeśli chodzi o straszenie liberalizmem, wydaje mi się, że słyszał je świat w ciągu długich lat z ust carskich gubernatorów, ministrów, że każdy carski żandarm wiedział o tem, iż liberalizm — to słowo przekleństwo! A jednak w kraju, gdzie właśnie liberalizm był tak wyklety, zwyciężyła zaraza, której się niemniej o ciebie obawiam. Natomiaś kraje wielkiej demokracji po dziś dzień jakoś się zarazie skutecznie przeciwstawiły...

Twój strach paniczny, Don Kichocie, strach paniczny twoich Torquemadów, świadczy tylko, żeś swej siły niepewny. Bo strach, to zawodowa choroba tyranów. Co do mnie, nie widzę innego rozwiązania bolączek społecznych, ani innej drogi obrony ojczyzny, aniżeli właśnie demokrację...

A jeśli nawet w umyśle Marata czają się plamy tajne, nie obawiam się ich. Demokracja jest dla mnie absolutem i kląpą bezpieczeństwa cywilizacji. Zarazki chorobotwórcze, o których wciąż mówisz, tam najpodatniejszy grunt mają, gdzie twoi Torquemadzi, niepomiernie lekcji wieków, elementarne prawa ludu rabują. Odrzucam głupią historjofolję „bakterjologiczną“, która pragnie najgłębsze procesy dziejowe przy pomocy trzech — czterech agitatorów wyjaśnić...

Marat: Jakże mnie cieszą tak rozsądne słowa! Rzecz jasna, obcy mi jest szereg twych twierdzeń. W moim światopoglądzie demokracja nie jest absolutem, tembardziej, że znam jej kilka form oraz widzę proces ich przerastania w coraz nowe postaci.

Mimo to, nawet ta forma demokracji, której hołdujesz, a o którą wspólnie z tobą walczę, nie jest dla mnie parawanem, za którym knuję spiski. Lud zawdzięcza wiele demokracji, a ja jestem przedewszystkiem przyjacielem ludu. Lud gotów jest o demokrację walczyć...

Hamlet: Czy aby nie zapóźno? Zali nie dostrzegasz, jak czarna, groźna chmura nadciąga? Zali nie spostrzegasz, jak świetnie sztab Torquemadów opracował swój plan? Systematycznie, uparcie, rozporządzając potężnym aparatem, tłumią wszelką wolność, straszą, mordują... Maracie, giniecie! Cham, nie znający żadnych skrupułów, niedouczony karjerowicz, otumaniony „błędny rycerz“ piędź za piędzią, krok za krokiem ziemię zdobywa, by wnet opasać ją czarnym koliskiem...

Marat: Ulegasz, Hamlecie, nastrojom, które sprawiają, że przeceniasz siły wroga. Prawda, nowoczesny Torquemada jest doskonale zmotoryzowany. Posiada świetny wywiad i wytwornie prowokatorów, jakiej nie posiadała inkwizycja. To też nowoczesna inkwizycja nie zezwala na rozwój wspaniałych dzieł sztuki. Jej oddziały nie kroczą z pobożnymi modłami na ustach, jeno miarowo wystukują takt parademarszu. Ostrożnie, korzystając z doświadczenia tylu wieków, sztab nowoczesnych Torquemadów na żołdzie wielkiego kapitału starannie opracowuje każde posunięcie. Zostawmy powieściopisarzom rozpatrzenie problemu, czy sztab ten święcie wierzy w swe posłannictwo, czy są między nimi idealisci, czy też sprzedajni łotrzykowie. W opinji społecznika decyduje fakt obiektywny: reakcyjna rola.

Ale zwycięstwo ich nie jest możliwe bez pomocy królowej wszelkich broni: piechoty. Torquemada zwycięży tylko wtedy, gdy zdoła zmobilizować szarą piechotę otumanionych Don Kichotów. Największym bowiem błędem demokracji jest dostrzeganie we wrogu

tylko jednej, zwartej, reakcyjnej masy. Tak nie jest. Należy różniczkować między Torquemadą i Don Kichotem.

Cervantes był człowiekiem odrodzenia. Ale Don Kichot jest reakcjonistą. Zapewne, tragicznym reakcjonistą, spauperyzowanym hidalgim, zapatrzonym w świat miniony. Szlachetnym reakcjonistą, dostrzegającym w gasnącym świetle tylko jego światła, człowiekiem, żyjącym w świetle majaków. Ale postokroć ma słusność Unamuno, gdy w Don Kichocie podkreśla czynnik dynamiczny: wolę. Nie rozum, lecz wolę; *nihil cognitum, quin praevalitum*. Ale woła musi mieć swój kierunek: naprzód lub wstecz. Woła Don Kichota jest w tragicznym wysiłku skierowana wstecz.

Część drobnomieszczaństwa, otumaniona przez fałszyzm, to masa Don Kichotów, wlokących się w ogniu Torquemadów. *Torquemadę należy bić — Don Kichota leczyć!* Tylko po takim różnicowaniu masy faszystowskiej możemy ocenić rzeczywiste szanse zwycięstwa. Daleki więc jestem, Hamlecie, od pesymistycznych nastrojów, tembardziej, że nie są one punktem wyjścia dla walki. I nie zapominam ani na chwilę, że jeśli ongiś Torquemada miał do czynienia tylko z niezorganizowaną masą rzemieślników i chłopów, to obecny Torquemada napotka na opór zwartych szeregów proletariatu...

Don Kichot: Zapewne, mój pierwszorzędnym impresario Miguel de Cervantes Saavedra, doktorze Marat, miałby pańskiej nader współczesnej inscenizacji mojej osoby wiele do zarzucenia. Co do mnie, składam ci dank, Maracie, żeś śladem Unamuno idąc zechciał mnie kośćmi i ciałem wypełnić, aczkolwiek nigdy nie zgodzę się z rolą, jaką drobnomieszczaństwu przypisujesz. Jestem sam panem i władcą swego losu. Zwycięzę...

Marat: Nie jest dla mnie sprawdzianem, co dana epoka lub dana klasa sama o sobie sądzi i twierdzi. Zali nie pamiętasz o tem, że wtedy, gdy właśnie Cervantes tworzył swe wiekopomne dzieło, dominikanin Tomas Campanella pisał w więzieniu: „Nasz wiek dokonał więcej w ciągu stu lat aniżeli świat cały w czasie swych czterech tysięcy lat poprzednich; więcej książek wydano, aniżeli w ciągu pięciu tysięcy lat przedtem. Nasz wiek korzystał z wynalazków, drukarni, busoli...”⁽⁶⁾ Campanella głosił więc sławę swego wieku, a któż z współczesnych mi ludzi sądził inaczej, jak tylko, że nasza Wielka Rewolucja była największą z wszystkich, jakie świat widział... Tak samo każda klasa społeczna jest zapatrzona w siebie, toteż większość pisarzy — jakże z drobnomieszczaństwa swój rodzaj ciągną — głoszą, że to ich właśnie klasa jest motorem dziejów. Mnie mój mistrz nauczał, jak za kulisy zagadnień spojrzą. Otóż gdybyś i ty, Don Kichocie, na dno zjawisk spojrział, ujrzałbyś wtedy, że czas twej gloriozy dawno mi-

nał. A wtedy zawróciłbyś z drogi, która cię tylko na brzeg przepaści sprowadza...

Don Kichot: Zwycięzę i nie wrócę... Królewiczu Hamlecie, raz jeszcze apeluję, byś ty nawrócił! Jeśli sympatje twe, nasiąkłe zgnitym liberalizmem, nie pozwalają ci dostrzec prawdy, pamiętaj bodaj o tem, że my zwyciężymy, a wtedy biada zgnikom! Pamiętaj, królewiczu, że twojem zadaniem jest cnot rycerskich straż...

Hamlet: Zapewniasz mnie o swem zwycięstwie i dlatego, powiadasz, mam się demokracji wyrzec! Nie jestem, Don Kichocie, konjunktualnym demokratą, moja demokracja nie jest skomercjalizowana. A czyż zaprawdę tak skomercjalizowaną demokrację uznałbyś za swoją cnotę rycerską? O fabrykancji ersatzów, snadź w braku rzeczywistego rycerstwa stworzyliście ersatzrycerstwo! Bo czyżby wasza dostojność, Mości Rycerzu, chciała zwycięstwem nazwać zmuszenie, przed wydaniem świadectwa aryjskości, do wyrzeczenia się ojcasemity? Rycerstwem zali jest hańbienie pamięci swej matki opowiadaniem o gwałcie, dokonanym na niej przez stuprocentowego aryjczyka? Zali rycerstwem, powiadam, jest katowanie w obozach koncentracyjnych? O, drogi Don Kichocie, jakże ponury jest obraz twego ersatzrycerstwa!

Nie podzielam mimo to, doktorze, twego ślepego kultu dla proletariatu oraz jego cnot. Powiada doktor, że to tylko drobnomieszczaństwo, nie mogąc odegrać samodzielnej roli, ma skłonność do ślepego naśladownictwa. Mojem zdaniem, nie należy z klasy czynić mitu, człowieka należy szukać wszędzie.

Marat: Ani człowiek ani setka ludzi nie decyduje, jeno dynamika sił społecznych oraz ich kierunek: naprzód czy wstecz. Spartańskich cnot nosicielką, jak to wykazał Sorel, była zawsze czołowa klasa postępu. A taką jest właśnie dziś proletariat. A gdy to ja, nieproletariusz, dziś twierdzą, nie czynię tego gwoli megalomanji klasowej, jeno na podstawie obiektywnej analizy, procesów społecznych. Nie przeczę, że ten lub ów proletariusz mógł ulec działaniu sił wrogich. Nie przeczę również, że poszczególne jednostki mogą wyrwać się, kosztem bohaterskiego harakiri nad sobą, z obręczy swej klasy, przejść na drugą stronę barykady...

Ale śmieszna jest ta banda błędnych rycerzy, która siadając w swej imaginacji okrakiem na wychudzonej Rosynance — biedocie żydowskiej, na straganie, wyobraza sobie również, że okrakiem usiadła na barykadzie dziejów. Złudzenie nie tyle tragiczne, ile tragikomiczne. Siły postępu...

Hamlet: Siły postępu! Wracasz, jak widzę, doktorze, do sprawy pepowiny i krwi... Postępu! Ale cóż nazwać postępowem?

Nie skończył. Ciszę nocy przeciął krzyk biednej Anny, wijącej się w bólach rozwiązania. Twarze trzech rozmówców sposepniały. A krzyk Anny rósł, nabrzmiewał, aż nagle urwał się i zamarł; a potem rozległ się krzyk inny — ach, jakże inny! Nieśmiały i jakgdyby radosny! Słaby i cichy, a jakże wymowny! Wtedy to pierwszy odezwał się Hamlet:

— Uciszymy nasze głosy, bo oto rozległ się niczem nieskalany głos nowonarodzonego niemowlęcia...

Zawtórował **Marat:** Oby w czasach niepokoju ten syn plebejski miał dość siły oporu, by przetrwać i zwyciężyć...

Spojrziałem na Don Kichota. Na twarzy jego ujrzałem modlitewne skupienie, w oczach zabłysł wyraz niebiańskiego uniesienia, palce rąk zamarły w niesamowitym bezwładzie, a z ust jego padły z namaszczeniem wypowiedziane słowa:

— Nasamprzód należałoby sprawdzić, zali nie miało tu miejsca wypadek pohańbienia rasy, jakoteż zali w żyłach noworodka nie płynie krew semicka...

Zerwałem się z miejsca. Chciałem krzyknąć: Błuznisz, rycerzu! Ale zjawy pierzchły. Szybko zbiegłem do pokoiku służebnej. Ujrzałem bladą twarz Anny i czerną twarzyczkę nowonarodzonego dziecięcia. I wnet przypomniałem sobie rozmodlone oblicze Don Kichota. Wspomniałem tedy słowa Fryderyka Nietzschego „O Człowieku Wyższym“:

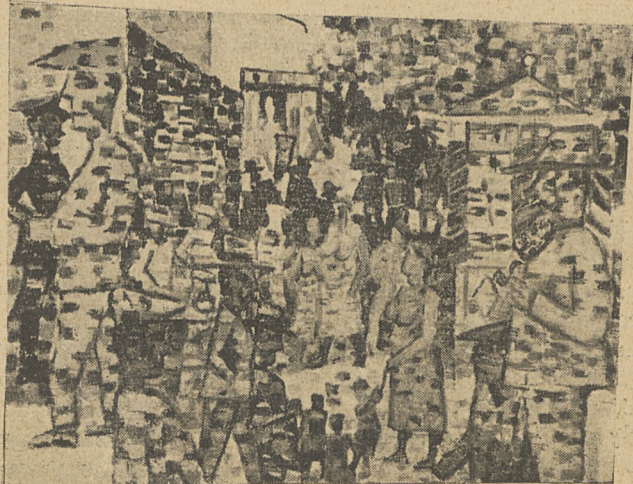
„Czyż bywało coś niechlujniejszego na świecie ponad świętych pustelników? Wokół nich rozpasywał się nie tylko djabeł, lecz i świnia“⁽⁸⁾.

Z WYSTAWY W LWOWSKIM ZAWODOWYM ZWIĄZKU ARTYSTÓW-PLASTYKÓW



Nosiwoda

LEOPOLD LEWICKI



Niedziela

STANISŁAW OSSOSTOWICZ



¹⁾ Mikołaj Bierdiajew: Nowe średniowiecze, str. 41.

²⁾ Joaquin Costa (1841—1911), znakomity socjolog hiszpański, którego dzieła stały się podstawą współczesnej myśli postępowej w tym kraju.

³⁾ Cytat wg. Gobineau: Odrodzenie, przekład Adolfa Strzeleckiego, str. 62.

⁴⁾ Cyt. wg. Jean Cassou: Cervantes, str. 39.

⁵⁾ Jamże, str. 48.

⁶⁾ Henri Hauser: La preponderance espagnole, str. 231.

⁷⁾ Tamże, str. 220.

⁸⁾ Tako rzecze Zaratustra, w przekładzie Leopolda Staffa, str. 344.

ARCHIWUM TŁUMACZEŃ Z ZAKRESU TEORJI LITERATURY I METOLOGJI BADAŃ LITERACKICH

Zeszyt 1, Viktor Żirmunskij, Wstęp do poetyki, 1934, 16^o, s. 87, zł. 1:30

Zeszyt 2, Leo Spitzer, Karl Vossler, Viktor Vinogradow, Z zagadnień stylistyki, Rozprawa wstępna Zygmunta Łempickiego, 1937, 8^o, s. XLVII + 160, zł. 3:—

Zeszyt 3, Wilhelm Dibelius, Morfologia powieści, 1937, 8^o, s. 32, zł. 1:20

Kolo Polonistów S.U. J. P. Do nabycia w większych księgarniach
Wysyłamy pocztą: Warszawa, Dobra 96, Stefania Kniśplówna

MARJA TEISSEYRE

W PRACOWNI ARTYSTY

(Korespondencja z Paryża)

Są obrazy, które zatrzymują widza swemi walorami malarskimi, nie nasuwając żadnej myśli o samym artyście. Ogląda się je jak twory bezosobowe. Ale są też obrazy, które przez swoje zabarwienie uczuciowe czy odrębność ujęcia wywołują zainteresowanie dla samego twórcy. Do tych należą obrazy Herauta. Na wystawach obrazów czy u marszandów zwracają uwagę swoją odrębnością. Bardzo delikatne i zgaszone w kolorze mają ton uczuciowy, który wzrusza i niepokoi pragnieniem odkrycia źródeł tego wzruszenia. Korzystam z pierwszej sposobności, żeby zobaczyć pracownię artysty, żeby poznać artystę u siebie.

Rue du Moulin de Beurre... Wchodzi się przez podwórce. Szklane drzwi pod festonami dzikiego wina i pajęczyn zgrzyczą, jakby ich nie otwierano od lat dziecięciu. W progu wita nas właściciel roztargnionym uśmiechem. Przeszkodził mi w jego pracy. Przesuwamy się ostrożnie wśród rulonów rysunków, wśród stosów płócien. Na sztaludze obraz niedokończony „Narodzenie Chrystusa”, ujęte w naiwną formę jasełek. Ale nie mogę się skupić do oglądania obrazów. Oczy rozbiegają mi się po pracowni. Wszędzie lalki — lalki zbierane po śmietnikach, lalki kupowane na „marche aux puces”, stare marionetki, rzeźbione w drzewie, lalki murzyńskie — zniszczone, zużyte, tragiczne i bezradne. Wszystkie w pozach pełnych ekspresji. Ta udrapowana w spłowiele szmaty ma błogosławiący gest Madonny. Ta znów z potarganymi włosami kona w ostatnim akcie tragedji. A tamta opiera się ruchem marzycielki o stos książek. Na środku pracowni „grób lalki nieznaney”: mała grządka w kamiennej posadzce, wetknięty w ziemię krzyż, parę lichtarzy, krzak syjący zeschłymi liśćmi i wsparta o niego lalka bezręka. Jedną z lalek poznajemy w którymś z obrazów. Te lalki to nie tylko kolekcja, którą można epatować znajomych — to modele artysty. Zamarłe w bezruchu, w jednym geście wzruszają swą bezsilnością, wyrazem krzywdy niezawinionej. Wobec portretów tych cierpliwych modeli zaczynam rozumieć, czemu mogą być dla artysty, który obojętnie mija otaczające go życie, a wzruszenie twórcze odzyskuje dopiero w czterech ścianach swojej pracowni — wśród swoich lalek, wśród swoich książek, obciążających długie półki, wśród reprodukcji muzealnego malarstwa, oklejających wszystkie ściany zwartą tapetą.

Punkt wyjścia przeważnej części obrazów Herauta jest literacki. Zresztą malarz jest równocześnie literatem. Temat odgrywa tu rolę pierwszorzędną. Lecz temat nie zabija formy. Daje jej tylko głębokie uzasadnienie. Zgasłe czerwienie wyrażają tu heroizm osamotnionej w swej niezrozumianej wielkości Joanny d'Arc. Kontrast światłych, nasyconych kolorów z martwą szarą szarą znajduje swój impuls w tragedji Otella. Naturalnie siła emocjonalna tych obrazów leży nie w temacie, tylko w ich formie sugestywnej i prawdziwie malarskiej. Czyż w przeciwnym razie wzruszyłaby nas tragedja skrzywdzonej dziewczynki, gdyby nie była wyrażona w tak ujmującej harmonji tonów różowych, żółtych i szarawych bieli?

Najdłużej jednak zatrzymujemy się przy obrazach religijnych. W „Salon d'Automne” widziałam jedną szalę poświęconą malarstwu religijnemu. Posiekane twarde mi cięciami kubistycznymi kompozycje przerażały płycizną manieri i pustką treści. Tutaj stajemy wobec prostoty tak wzruszającej, jak u prymitywów włoskich. Ich zgaszony kolorystyka wzmaga jeszcze podobieństwo z freskami quattrocenta. Wspaniała kompozycja „Drabina Jakubowa” ma siłę i prostotę fresków Giotta. Chciałoby się ją zobaczyć na murze. Tak te rzeczy duszą się w granicach malarstwa sztalugowego. Przekształcają, fałszują technikę oleju. Sam artysta rozumie to doskonale. Pokazuje nam obrazy bez ram. Chciałby w nich uzyskać płynność kompozycji biegnących metrami. Chciałby je przerzucić na mury kościołów. Pytam się, czy zrealizuje te możliwości. Przecież te rzeczy w epoce tak pozbawionej ducha religijnego zdumiewają świeżością i głębią uczucia. I nie jest to imitacja, mimo pewnego sentymentalizmu dla form starego malarstwa, mimo, że są już prawie „spatynowane”, jak sam artysta przyznaje z uśmiechem.

„Kler? Nie, kler tych rzeczy nie rozumie. Są dla niego zamało religijne. Lecz we Francji wogóle już dawno zatracono istotę ducha religijnego, nawet malarze religijni, księża, ludzie wierzący, malują Chrystusa jak włóczęgę. Traktują go za „pan-brat”, jak starszego przyjaciela. Nie odczuwają koniecznego dla religji dystansu. Jedyni malarze religijni, jacy jeszcze istnieją, to Rosjanie i Polacy. Bo tam jeszcze istnieje uczucie szacunku (respect). Tam się jeszcze w pas kłaniają. A u nas Chrystus to przyjaciel, towarzysz.”

Wpadamy pod sugestię słów mocnych, rzucanych z żywością Marsylczyka. Lecz wracamy znowu do obrazów. To nie są jednak obrazy, przed którymi zgina się kolana. Staram się pochwycić istotę wzruszenia, które wobec nich odczuwam. Ponury anioł z rozgorzconą i bezradną twarzą dziecka patrzy na utopiony w brudnych oparach szkielet wieży Eiffla. Krzyczące żółte

chromy walczą beznadziejnie z szaremi tonami. Opuszczona Madonna tuli w ramionach zapoznanego Boga. I znów chmurny anioł zabląkał się do bistro. (Czy ten właśnie kieliszek absyntu w rękach anioła nie przeraża kleru?). Tak, to jest świat zbląkanych aniołów, świat zapomnianego Boga. Znowu u dna wzruszenia odnajdujemy litość — litość dla krzywdy niezawinionej, głęboki sentyment dla bezbronnej słabości. Ten sam, co w obrazie skrzywdzonej dziewczynki, w licznych portre-



Skrzywdzona dziewczynka
HENRI HERAUT

tach dzieci, w lalkach bezdomnych, które w tej pracowni znalazły schronienie. Stoimy wobec dziedziny wzruszeń najklimatyczniejszych, dla których artysta szuka wyrazu plastycznego najszczerzego, bezkompromisowo, nie oglądając się na modę, na pokupność rynkową. Widzimy tu sztukę jako istotną konieczność życiową. W nią się przesaczą, przefiltrowują uczucia artysty. Nie sztuka-rzemiosło, praca, czy zawód — sztuka-wyzwolenie. I w tem leży tajemnica głębokiego wrażenia, jakie te płótna wywierają.

KSENOFON (ok. 430—354 przed Chr.)

O POKOJU

(Z dzieła „O dochodach“)

Jeżeli jest oczywiste, że pokój jest potrzebny do tego, by całkowicie wpływały dochody państwa, to czyż nie byłoby dobrze ustanowić specjalny urząd strażników pokoju? Ustanowienie takiego urzędu powiększyłoby miłość do naszego państwa i podniosłoby znacznie liczbę przyjezdnych. Ci, którzy myślą, że państwo, podtrzymujące pokój, staje się słabsze, mniej sławne i wpływowe w Helladzie, sądzą, według mnie, niemądrze. Bo przecież za najszczęśliwsze uchodzą te miasta, które są w stanie wytrwać w pokoju dłużej niż inne, a z wszystkich miast Ateny najbardziej rozwijały się w czasie pokoju... Toć państwo, korzystające z zupełnego spokoju, potrzebne jest wszystkim, poczynając od właścicieli okrętów i hurtowników!... A i rzemieślnikom, sofistom, filozofom, poetom, i tym, którzy wykonywają ich utwory i tym, którzy pragną usłyszeć i usłyszeć godne uwagi widowiska religijne i świeckie, tym wreszcie, którzy pragną prędko sprzedać wiele rzeczy i zakupić — gdzież pragnienia ich wszystkich mogą być szybciej zaspokojone niż w Atenach? Jeżeli zaś nikt się temu nie sprzeciwia, a mimo to są tacy, którzy w pragnieniu zapewnienia naszemu państwu powtórnego hegemonji myślą, że można to prędkiej osiągnąć zapomocą wojny niż zapomocą pokoju, niech najpierw pomyślą o czasach wojen perskich: czy drogą przemocy nad Hellenami, czy też przez wyświadczanie im dobrodziejstw otrzymaliśmy kierownictwo nad (wszechhelleńską) flotą i skarbem?...

Teraz, gdy nastąpiły smutne czasy dla Hellady, wytworzyła się, jak sądzę, taka sytuacja dla naszego państwa, że może ono bez trudu, bez ryzyka, bez wydatków przeciągnąć Hellenów na swoją stronę; możnaby bowiem z jednej strony spróbować akcji pojedynczej wśród wrogich sobie państw, z drugiej — przywrócić w nich pokój wewnętrzny, jeżeli wynikają w nich powstania... Kiedy stanie się jasne dla wszystkich, że my troszczymy się o pokój na całej ziemi i na wszystkich morzach, to sądzę, że wszyscy zapragną, by zaraz po ich ojczyźnie najbardziej przodowały Ateny.

przełożyła Stefanja Warszawska

LOLA SZERESZEWSKA

HISZPAŃSKIE POMARAŃCZE

Czerwono dojrzewają ciężkie pomarańcze
W tysiącnie powtórzonym obłędzie pożogi.
Gdzie tysiąc lun się pali światłem opętańcem,
Płowicje wstydem słońce, jak żebrak pod progiem.

Tam, gdzie tysiąc pożarów płomieniami tańczy,
Dojrzewają owoce w purpurowym żarze.
I ciężą nieruchomo oble pomarańcze,
Jak zwarte nienawiścią, zemstą żółtkle twarze.

Czerwono dojrzewają ciężkie pomarańcze.
Niedługo pod owocem gałąz nisko zwiśnie —
A wówczas śmierć się zbliży zcicha i bezmyślnie,

Podrzuci złote kule gestem opętańcym.
W nagiej czasce rząd zębów szyderczo zabłyśnie,
A gdy się wgrzyzie w owoc, krew z owocu tryśnie.

GOTTFRIED BENN

W BARAKU DLA RAKOWATYCH

Człowiek:
Ten rząd pod ścianą — to piersi w rozpadzie,
a tutaj mamy przegniłe tułowia,
Łoże przy łożu cuchnącem.
Siostry ze zmianą, porządek w zakładzie,
no i gorąco.

Pójdź, na śpiącym uchylić koca,
ze sterty tłuszczu w posoce zgnilizny,
i to — widzisz — miało kształty mężczyzny,
ojczyzną się kłęło, marzyło po nocach.

Pójdź, rany na piersi tej policz.
Wyczuwasz pod ręką różaniec ze ścierwa?
Dotykaj śmiało. Jest miękkie, nie boli.

Ta znowu, — dziwne — broczy.
Skąd krwi tyle w brzuchu przeklętym?
A tej się urodził chłopczyk —
z rakowatego łona wycięty.

Spać, to im wolno. Za dnia i nocą.
Uwierzyli, że dośpią się zdrowia.
W niedzielę do wizyt budzeni, pytają: poco?

Jedzą niewiele. Plecami w krostach
świecą krążącym muchom. Zmywa je siostra —
tak jak się szczołką przejeżdża po stołach.

Tu już rola nabrzmiewa wkrąg łoża.
Ciało w nawóz przechodzi, wygasa pożar.
Soki się zaczynają wydzielać. Ziemia woła.

W LEZNYCY

Oto leży na stół rzucona —
jakby w geście uniesienia.
Rozwarte uda i ramiona
na krzyż, w pierścieniach.

Z głową wtył i bezpamiętną.
„Pójdźże, zbliż się,
niech twój dreszcz — tak usta jękną —
przejdzie mnie najskrytszą”.

Ciało mocne, bo brak eteru,
wspina się na głowie:
„Po nas potop, ciemność, czeluść,
po wszystkim — ty i... tobie”.

Ściany runą, stół i krzesła
hurkocą żywe w czyichś pięściach.
Czuć krwotokiem, w sali przestrach
i cień bliskiego zejścia.

ASTER

Wniesiono na sekcję topielca, woźnicę z browaru.
Ktoś wetknął mu w usta liljowy aster,
z kwiatkiem w zębach sunął staruch.

Kiedym mu pierś otworzył i poprzez
pierś i popod kości
nożem języka sięgnął, krtani,
wreszcie mózgu, musiałem ostrzem
łodygę naciąć, poszła za nim.
Takem ją w piersi pustej
między wióry spakował.
Po zaszcyciu — gotowe.

Dosyła się opij w twojej wazie, w takim alabastrze!
Spij spokojnie,
drobny astrze!

przełożył Marjan Promiński

Każdy, kto wpłaci prenumeratę roczną na 1937 r. otrzyma bezpłatnie 6 numerów „Sygnałów” z drugiego półroczna 1936 (nr. 19 — 24).

STEFAN NAPIERSKI

PRÓBA „PSYCHOANALIZY” KADENA

Szereg krytyków, z których kompetencją liczyć się wypada nawet wówczas, kiedy się nie podziela ich zdania, co więcej, niejednym z poważniejszych prozaików współczesnych dawał wyraz szczeremu przekonaniu, iż Kaden-Bandrowski jest najwybitniejszym lub co najmniej najbardziej odkrywczym z polskich beletrystów okresu powojennego; iż jest, słowem, najbardziej znaczącym pisarzem Polski odnowa niepodległej. Inni natomiast, zbyt często pobocznymi powodowani względami, nie tylko stronniczo, a niekiedy paszkwilancko, odsądza go od czci i wiary, lecz odmawiali mu ponadto wszelkich niemal wartości artystycznych, kwestionowali zarówno metody jego, jak osiągnięcia, podawali w wątpliwość rzucające się w oczy — jakby się zdawać mogło na tle współczesnej mu, a co dopiero wczorajszej literatury — nowatorstwo. Dogłębne to rozszczępienie opinii nie może być przypadkowe. Rozwój przez ostatnie lat dwadzieścia prozy naszej nie tylko jest nie do pomyślenia bez wkładu Kadena-Bandrowskiego, lecz w licznych objawach wykazywał czas dłuższy i dzisiaj jeszcze, chociaż w znacznie słabszym stopniu i raczej jako wtórny refleks, nadal ukazuje daleko sięgający wpływ „szkoły pisarskiej” Kadena. Autor „Bigdy” nie tylko stworzył epigonów, karykaturujących pisarza i tak już, jak nikt ze współczesnych, podatnego karykaturze — a tak się najczęściej dzieje — z niepospolitemi indywidualnościami literackimi — lecz również, przyznać trzeba bezstronnie, wywołował wyładowań, ośmielił mnóstwo śpętanych sił, ukrytych przed nim lub podwiązanych, rozbił jakgdyby tamę, za którą tłoczyły się i fermentowały nagromadzone w epoce poprzedniej, w czasie istotnego rozkwitu prozy polskiej — w erze Prusa, Sienkiewicza, Weyssenhoffa, Orzeszkowej, Tetmajera, Żeromskiego wreszcie i przedewszystkiem — pierwiastki kulturalne, społeczne, obyczajowe oraz dziwne moce psychiczne, które nie znajdowały dostatecznego ujścia ani wyrazu w owoczesnych, zapewne doskonałych, lecz zwolna obumierających kanonach. Z wiedzy lub bezwiednie podzielał jak katalizator; świadomie lub nie, przeciwstawił się; proces przyspieszył brutalnie, gwałtownie, impetycznie, z ambicją, z bezwzględnością i naiwną megalomanją pioniera, za którego nigdy nie przestawał się poczytywać. Zerwał raptem z tradycją; a jeśli później zbyt często próbował do niej nawiązywać, to w tym jego celu, by jako „wyrodny” syn lub wnuk stworzył sobie a posteriori, gdy tak wypadło gwoli popularności lub dla wzmoczenia nośności własnych, rozporządził gorączkowo wyrzucanych ksiązek, przydatną i dogodną genealogję. W tem właśnie najbardziej przypomina zdobywczych parwenjuszy, których niezrównany obraz odtworzył niegdyś Honore de (sic) Balzac, preparujących sobie tablice fikcyjnych przodków, by tem silniej się ustabilizować, by wogóle móc się ustabilizować w niechętnym im społeczeństwie. Nietyle zatem powodowała go troska o kulturę polską — w przeciwieństwie do tamtych pisarzy, na których w sposób tak spóźniony zaczął się oto powoływać — lecz mniej lub bardziej uprawiano na potrzeba indywidualna ostania się wbrew wszystkim. Imponuje to zarówno, jak w płaszczyźnie społecznej niepokoi. Nie kwalifikujemy zresztą kierunku ani substancji, nie spoglądamy pod światło na te osobliwe papiery heraldyczne, nie zamierzamy wytaczać procesu, czy wolno lub choćby należy tak się legitymować, gdyż nikt z wybitniejszych pisarzy świata nie jest i nie może być pod tym względem bez winy, stwierdzamy tylko sam fakt niewątpliwy i dostatecznie wymowny. Kaden nie tylko uważał się za pioniera, lecz w pewnym sensie — stwierdzmy to dzisiaj obiektywnie w oglądzie historycznym — był nim w istocie. Gdy rolę tę spełnił, gdy polska rzeczywistość literacka, która narosła przez owe lata, obejmujące co najmniej jedno dziesięciolecie (licząc od daty pojawienia się „Generała Barcza”), przerobiła, choćby pośrednio, na własny użytek bodźce i pobudzenia Kadena, z natury rzeczy oddziaływanie jego zaczęło maleć; on sam skolei przemienił się w mocno kwestionowany kanon, zwłaszcza, iż uprawiany przezeń rodzaj pisarski był od początku — zwłaszcza jak na „klasyka”, choćby najdziwniej „nowoczesnego” nabożeństwa — wielce problematyczny.

Co do nas, sądźmy, iż mnóstwo sprzeczności — w sądach, relacjach, opiniach, odruchach, zachwytach, niechęciach — dałoby się może, jeśli nie wyjaśnić całkowicie, to w każdym razie poniekąd sprecyzować, gdyby podjąć próbę, choćby jednostronną i z konieczności szkieletową, zbadania źródeł genetycznych samej osoby twórczej Kadena-Bandrowskiego. Takie są — i tylko takie — zamierzenia niniejszego artykułu. Kwalifikacje kulturalne w zwięzonym takim aspekcie narzucają się, oczywista, same. Jeśli analiza okaże się niedostateczna lub dowolna, padają one wraz z nią. Oto szczerze wyłożone założenia.

Pierwotność odczuwań, pozorna zawilosc myślenia, niepoprawny ekshibicjonizm wybitnego tego autora jest do zrozumienia tylko poprzez jego — pozwólmy sobie w danym wypadku na to wyrażenie — infantylizm. Stąd też jego zachłanność wzrokowa: bezustanne podpatrywanie bliźnich, nieprzewyciężony „voyeurizm”.

Stąd dalej to, co bezwiednie zraża najlojalniejszych czytelników do tej niepospolitej twórczości, twórczości czysto wzrokowej o niewyjaśnionych, zatem mimowoli zakłamanych, przeciwnościach ku perspektywom „du-

chowym”, co budzi w nich lęk podskórny, lęk obronny, a nawet odrazę: jej chorobowość, nigdy niewysublimowana całkowicie i harmonijnie, nigdy nieskompensowana w dziele sztuki bez reszty. W tym sensie Kaden wydać się może szczególnym, klinicznym wypadkiem polskiej literatury (w silniejszym o wiele stopniu, niż w swoim czasie Przybyszewski, który w porównaniu z nim był naiwnym i bezpośrednim historykiem). Nacisk Kadena na „rzemiosło”, to jego ujście przed samym sobą, a raczej próba wyzwolenia. Lecz chaos spotęgowany — gdyż intensywność jest najcenniejszą wartością tego pisarza, chociaż jest to zazwyczaj dynamizm bez pokrycia — nie mogąc poddać się ujarzmieniu lub choćby pełnemu skanalizowaniu, ulega wynaturzeniu: w rezultacie otrzymujemy szarżę; szarżę jako wyraz artystyczny *przerostu*, niezróżniczkowanego, „barbarzyńskiego”, przedcywilizowanego, infantylnego właśnie nadmiaru psychicznego. Stąd w dalszej konsekwencji ucieczka Kadena do „prostoty”, do prostoty sztucznej, prostoty nieodpowiedzialnej, gdyż uzyskanej tylko za cenę intencji, wysiłonego zamiaru, nie przez syntetyczne ubóstwo i jak to zwykle bywa w podobnych okazjach: *man merkt die Absicht und man wird verstimmt*. Prostota jest dla Kadena w istocie niedostępna, gdyż nie potrafi on uprościć swego stanu przedmyślowego, który organicznie nasyca całą jego twórczość; dlatego to ucieka się do symplifikacji.

Skolei „epizm” Kadena jest intencjonalny czyli nie jest epizmem wogóle. Kaden nie ma odwagi czy też dość jasnowidztwa introspekcji, by zaakceptować do ostatnich krańców swoje skomplikowanie neuropatyczne,

TITUS LUCRETIVS CARUS

DE RERUM NATURA

Fragment księgi pierwszej

Gdy przed oczyma ludzi życie, z wolności wyzute, leżało, w błoto wdeptane ciężkim religii butem, która nad ziemię ciemną i ponad niebo niewidne razila strachem śmiertelnych, tocząc swój leb ohydny — pierwszy Epikur Greczyn lękiem nie splamił twarzy, podniósł zuchwałe oczy, do walki stanął się ważny. Ani go bogów powaga, ani losoty gromów nie powstrzymały w męstwie od znoej pracy ogromu, by pierwszy do bram natury otworzył ciasne wrota. Wszędzie zwycięża dzielność i nieugięta cnota! Wyszedł daleko za kręgi ognistych świata rubieży i wolną, lotną myślą wszystko nieznane przemierzył. Stąd tryumfator dumny przyniósł nam prawdę niezbędną, co i dlaczego powstaje, skąd bierze życie i pędność, jakie granice mocy rzecz każda w sobie zawiera, co każe życiu się rozdzielić i co mu każe umierać. Teraz, zdeptana religio, komu swą władzę ogłosisz, gdy nas zwycięstwo myśli pod same niebo wynosi?

Lękam się, przyjacielu, byś to czytając nie sądził, że czynisz źle, bezbożnie i w krętych szlakach błądzisz, zbrodnię niemal spełniając. Zaprawdę, powiedzieć można, że zbrodnie rodzi zbyt często właśnie religia zdrożna.

Tak w Aulidzie zielonej ołtarz Trójdrożnej Dziewicy krwią Ifigenji zbrukali pobożni wojownicy. I to nie krwią zbrodniarki! a czystej, królewskiej córy, i to przedniejsi danajscy wodzowie, nie podle ciury. Gdy wstęga dziewicze jej sploty ujęli w równą połowę, widzi, jak ojciec pochmurny ponuro zwiesił głowę, widzi: kapłani przy niej w szatach skrywają noże, a lud dokoła zebrany łez w oczach wstrzymać nie może. Niema z besilnej twogi, padła na ziemię omdlała i nic jej pomóc nie mogło — ni ojca władza i chwała, ni to, że — pierworodna — ojca przyniosła mu miano. Porwały ją zbrojne ręce, podały na ołtarza kapłanom nie poto, by według zwyczaju po ślubie goście poczęśni, w dom ją prowadząc radosną, śpiewali weselne pieśni, lecz żeby czysta, niewinna, w sposób do szczytu haniebną zginęła z ręki rodzica dla zabobonów wróżebnych, by wojsko mogło odpłynąć i flota żagle podnieść. A takich, jak ta, niejedną zrodziła religia zbrodnie.

Ty sam — nadejdzie chwila — zgębiony groźbami wieszczów poszukasz sposobu ucieczki z tego padole nieszczęść. Bo ileż mogą oszustw i ileż wymyślić baśni ci, co za wszelką cenę nie pragną życia rozjaśnić! Jakąż ci mogą zagrać ponurą, kłamiwą piosenkę, jak życie — dotąd szczęśliwe — zatruci grobowym lękiem! I słusznie. Gdyby ludzkość widziała koniec niedoli, mógłby się kto dzielniejszy od grózb guślarzy wyzwolić. A tak — niema nadziei i niema znikąd sposobu, trzeba się bać kar wiecznych z za czarnej czeluści grobu.

Nikt bowiem nie wie o duszy, skąd jej natura pochodzi, rodzi się sama, czy w ciało wstępuje w chwili narodzin — czy gdy ją śmierć oderwie, z ziemską powłoką ginie, czy idzie smutna zgłębiać ponure Orkanu jaskinie.

...Dlatego pilnie masz zbadać.

co niebem, nad nami rozpiętem, od wieków niezmiennie włada, jakie ruchem księżycy i słońca kierują powody, jak się dopełnia życie na ziemi i w głębi wody. A nadewszystko warto, byś bystrze rozumem zmierzwił, jaka jest ducha natura, skąd i od czego zależy.

Wyjątek z poematu przełożonego w całości przez EDWARDA SZYMAŃSKIEGO

a przez to naprawdę uczynić je płodnym; nie jest on bowiem, wbrew pozorom, zawiły intelektualnie; gdyby był współczesny Przybyszewskiemu, byłby typowym „nastrojowcem”. W samej rzeczy stokroć bardziej spokrewniony jest z autorem „Homo sapiens”, niżli z Żeromskim; od niego to właściwie się wywodzi, a przynajmniej od płynnej jego postawy. Symplicyzacja Kadena graniczy z tragicznym cynizmem, z przeniewierstwem. Pragnie kształtować realność, pragnie ją „wyczerpać”, będąc sam przez nią ugniatany jak wosk. Jest to bowiem swego rodzaju „genjusz” wizualny; jedynym organem jego poznania jest źrenica i przełamane w niej pseudowizje; niemal wszystkie inne organy poznawcze są u niego w atrofii. Dynamizm Kadena jest zgóry chybiony, gdyż nie posiada osi organizacyjnej, punktu oparcia, choćby śladu szkieletu. Integralne kalektwo to sztuka kuje przez przybudówki ideologiczne, które wszystkie, gdy spojrzeć pod światło, dadzą się sprowadzić do drobniomieszcząńskiego słowa „serce”. Jest to wielki talent literacki, całkowicie pozbawiony kręgosłupa, temperament, który, gdy nie ma innego nie pozostaje, poprzestać musi na sobie. W tym sensie, ale tylko w tym, kontynuuje tradycję Żeromskiego i podświadomie, jakby wiedząc o tem, nie przestaje się odeń odżegnywać. Stąd nienawistna jego w gruncie rzeczy reakcja na Żeromskiego, który pod tym jednym względem był do niego podobny: przez „plazmowatość”. Lecz dodać trzeba, Żeromski miał nadto genialną emocjonalność, wynikłą z „cierpiętniczego” masochizmu, kiedy Kaden stawia odpór światu, gdyż jest to sfuszerowany sadysta. Świat Kadena, to mimowolna karykatura; wielbiąc „życie” przez małe i duże, nigdy prawie nie stwarza on ludzi żywych, lecz marjonetki, nad którymi się znęca, którymi poniewiera. To jest prawie tragiczne. Cały świat zaludnia Kadenami czyli stworami, nawet nie osobami, pozabawionem oblicza. Wszystko inne — choćby Tadeusz („Czarne skrzydła”) — jest martwym schematem. Zdobycze jego niezawodnie leżą na płaszczyźnie stylistycznej, ale w dalszych konsekwencjach i one są wątpliwe. Styl to w istocie rzeczy pointilistyczny, postimpresjonistyczny, beznadziejnie zatimizowany, *anachroniczny* nawskroś. Dla Kadena bowiem, pomimo pozornego rezonansu, który go skrycie upajał i tembardziej jeszcze oślepił, nie istnieje, podobnie jak dla znakomitej większości współczesnych pisarzy polskich, cały obszar duchowy, kulturalny, socjalny, obyczajowy Europy wieku XX. Jako wywieszka, jako sztyld do nieśmiertelności, przyczepia on humanitaryzm z nieprawdziwego wydarzenia, humanitaryzm z leżką „silnych patryotów”. Ten najmniej problematyczny z ludzi (nazewnątrz) ma styl problematyczny nawskroś; styl ten, pomimo olbrzymiej skali wrażliwości, jest w rzutowaniu swem i konsekwencjach bezpłodny i conajwyżej działać może jako krótkotrwała infekcja. Podobnie nietwórcza, pomimo swej rozpiętości i zróżniczkowania, jest sama ta wrażliwość, gdyż *poprzestaje na sobie*, nie służy kanalizacji intelektualnej; conajwyżej Kaden usiłuje ją z pasją aktualizować przy pomocy niezwyklej pomysłowości metaforycznej. Kaden miota się w sieci antynomij własnego temperamentu — nie „ducha” — których rozwiązać nie *warto*. Jest to może tragizm osobisty, lecz niedość reprezentacyjny, nadto specjalny, by miał znaczenie ogólniejsze lub choćby czasowo specyficzne. Usilna chęć nawiazania do tradycji, uważanie się — już za życia — za „klasyka”, wynika z tego właśnie głębszego poczucia odosobnienia, którego stłumić ani zrównoważyć nie zdoła jakakolwiek poczytność, sukcesy, zaszczyty ni wpływy zewnętrzne. *Gest zastępuje u Kadena moc, siła wyczerpuje się w wyrazie*. W tym sensie jest on ekspresjonistą wbrew samemu sobie, ale nie ekspresjonistą świadomym, za którego niegdyś poczytywać pragnął go Breiter. Formułka ta należy do najpiętych, bo wynika z całkowitego niezrozumienia ekspresjonizmu, jako specyficznie niemieckiej odmiany inflacji duchowej po wojnie, a zarazem uszczupla Kadena, który w ramy te włożyć się nie da, chociaż nie przestaje być typowym *ancien combattant*em, z charakterystyczną manją wielkości i przesadnymi apetytami. Oczywista, między nim a ekspresjonizmem są znaczne zbieżności, ale raczej ujemne. Choćby te: Kaden nie potrafiąc dostrzec przedmiotowo, odtworzyć lub choćby fikcyjnie stworzyć, wyłonionego z chaosu, pojedynczego człowieka, który dla wielkiego powieściopisarza jest zawsze mikrokosmosem, wierzy w „człowieka jako takiego”; jest typowym sekcjarzem pseudo-humanitaryzmu, ideologiem z rodzaju tych, jakich skazywano niegdyś na gilotynę, a Napoleona — i za nim innych — na deportację. „Humanitaryzm” ów jest bankrutem samego autora i dokumentem braku jakiegokolwiek istotniejszej postawy myślowej lub choćby tylko jej możliwości. W powieściach jego wszystko sprowadza się do apologji „zwyczajności”, do niewczesnego pobłażania, w myśl błahej, starej, jak ludzkość z jaskiń się wywodząca, zasady, że *homo homini lupus est i kruk krukowi oka nie wykole*. Dlatego to przy końcu Kadena zawsze wygrywa „dobroć”, ten *niesprawdzalny potencjał*, jako atut ostatni. Tak czyni przez ucieczkę, przez *słabość samouwielenia*. Dlatego też jest pisarzem erotycznym nawskroś, nie pornografem, o co go niesłusznie pomawiano, lecz poprostu dość naiwnym erotomanem: tu może wreszcie pofolgować sobie, niewyżytemu swemu infantylizmowi. Nie przypadek to, że „czysta” miłość jest u niego oledokrukowa (Dusiówna). Szczepiąc bowiem wszędzie własne swe kompleksy, przyjmuje je za ogólnie obowiązujące prawo, naturalne niejako: innych ludzi nie widzi innymi od siebie, nie podejrzewa, że *mogliby* być inni. Kaden nie ma odwagi, ani wyłączności, swej wyjątkowości; dla-

FRANCISZEK SIEDLECKI

DWA FRAGMENTY

...A piętnaście lat temu, dziesiątego sierpnia dwudziestego pierwszego roku, pochowano łabędzia niepokalanego, Aliksandra Błoka.

Dzień był odświętny, bardzo cichy, upalny. Niebo skupione, jasne, bez chmurki. Dopiero koło południa zjawilo się na czystym tle błękitu parę drobnych różowo-złocistych obłoków. Ale zachód wypadł dziki, wrózący wicherzycę, krwawy i żółty — i runął luną pożaru na miasto, cmentarz, świeży grób. Już o zmierzchu zerwał się nagle wiatr i powracających z pogrzebu przejął dreszczem.

1. W JASNYCH SŁOŃCA PROMIENIACH...

„Kochana babciu! brzuch mnie bolał, a mnie oszukali i dali mi rycyny z emulsją. Dwa dni nie byłem już w szkole. Jutro pójdę. Piszę przez kalkę, którą dała mi mama, z tego papieru, który podarowała jej ciocia Fela. Ciocia Fela podarowała mamie papier do krótkich i długich notatek. Do krótkich w pudełku, które jest pokryte buziami kić. Do długich w pudełku z ptaszkami. Po tem ja podarowałam mamie książkę do zapisywania, a Francik duży flakon perfum i różę...” „Moja mamulo maciupenka! Strasznie Kocham ciebie i strasznie za tobą tęsknię. Czy prędko przyjedziesz. Napisz prędko o Franciszku i o sobie. Dzisiaj prosiłem Andrzeja o arkusz takiego niebieskiego papieru, który trzeba naciskać. Andrzeja dał mi go bardzo chętnie i powiedział, żeby go pocałować i sam objął mnie i pocałował...” „Kochana babciu! Strasznie chcę ciebie zobaczyć. Jutro u nas choinka i ja bardzo się z tego cieszę. U nas wszyscy zdrowi. Dziś mama pozłacała orzechy, a kicia spała koło niej, położywszy głowę na łapki, albo siedziała i przypatrywała się Francik wbił do orzechów gwoździ, a ja zawieszam je na kijku...” „Najdroższy drożdżu! W Szachmatowie tak prześlizgnie! Kwitną róże białe, czerwone i różowe...”

W Szachmatowie rosną wielkie lipy. W Szachmatowie, w cieniu tych lip stół stoi, przy którym przez całe lato smażą się konfitury. W Szachmatowie przy samym dworze — dwie bardzo wysokie sosny. Z wienandy — oszklone drzwi do przestronnych, przytulnych pokoiów. Z werandy, ze wzgórza, na którym stoi starodawny dwór, widok przedziwnie daleki, rozległy. Na pola, na lasy, na łąki, doliny, i wzgórza i wzgórza, ciągnące się aż po horyzont. Ogród stary, zarosły. Stuletnie świerki, brzozy, lipy. Srebrne topole. Orzechy i klony. Mnóstwo bzu, białe i czerwone róże. Klomby białych narcyzów, liljowych irysów. Aleja wysadzana starymi lipami, furtka — kończy się ogród: i znów widok daleki, rozległy. Na kwiecistą dolinę, przetrzyniętą strumieniem, na staw i na bagna porosłe szuwarem, na wzgórza, ciągnące się aż po horyzont. A osiem wiorst dalej, na jeszcze wynioślejszej górze, w wielkim ponurym dworze — mieszka Faust i zaklęta królowa.

tego to, z tych naszkicowanych tu względów „freudy-stycznych”, takim niepojętym bywa wielopisem.

Kaden, gdy „rozrywa blizny podłości” (a cóż innego czyni wogóle poza akcentami jeszcze uroczyściowogalówkowemi?), rękawiczką oprawcy nie ludzi policzkuje, lecz widma; wszelkie „kwestje socjalne” (no i państwowe) są dlań tematycznym pretekstem, są okazją do wygranania raz jeszcze samego siebie. Dostrzega preteksty te wszędzie, nie dostrzega nic poza niemi, tembardziej istotnych zagadnień społecznych, decydujących spraw kulturalnych. To człowiek, smagany beznadziejnym głodem wrażeń i emocyj, pisarz *pozbawiony duchowej ojczyzny*. Jest to jeden anachronizm więcej, zbliżający go frapująco do *fin-de-siecle'u*, do tych wszystkich wykorzenionych i bezdomników, którzy w ojczyźnie pragnęli przedewszystkiem odnaleźć siebie, czepiali się jej, jako ostatniego schronienia (Przybyszewski choćby, a nawet w pewnych okresach Kasprowicz i cały legjon pomniejszych). Po „Łuku”, który jest poniekąd jego arcydziełem, najbardziej „bezinteresowną” jego książką, pragnie już niemożliwość: przełamania dotychczasowego siebie, wzbogacenia i rozszerzenia twórczości; pragnie być soczewką narastającej kultury polskiej, nie mając, nie mogąc mieć ku temu powołania. Kończy zatem na niewesołej pozie „wieszczą”, nagminnie panującej w Polsce, pozie Wernyhory i Stańczyka w jednej osobie. Cokolwiek Kaden głosi czy głosił, pozostanie wraz z nieprzemysłanym, fizjologicznym niejako, nihilizmem, przed którego konsekwencjami cofnie się zawsze. Stąd ta — jako pozorna choćby kompensata — potrzeba wielbienia, głoszenie t. zw. karności, fetysyzm wobec jedynostek, a ukryte, w miarę pochlebne, pomiatanie ogółem. Przez to, przez tę maskowaną połowiczność, jest Kaden symptomatycznym pisarzem w Polsce powojennej: w Polsce wczorajszej, pozbawionej głębszych fundamentów politycznych oraz kulturalnych i sztukujących jej doraznie, czem się da, wysiłonej i skłóconej u podstaw, szukającej dróg wyjścia pomacku, wiedzionej nie świadomością, lecz rozszczepionym instynktem. Dla dobra współczesnej literatury polskiej życzyć wypada Kadenowi, najbardziej, mimo wszystko, reprezentacyjnemu prozaikowi minionego dziesięciolecia, późnego choćby scałkowania.

Stefan Napierski

Tu rósł, rozwijał się, kształtował... Mówiono o nim, że od czasów Puszkina żaden chyba poeta nie był takim ulubieńcem losu: zabezpieczony, dostatni, prawie bogaty byt, przytulność, zacisze dziedzickiego dworu, rozmiłowane w chłopcu kobiety — głęboko kulturalne, mądre — matka jedynaka, ciotki, babki... głęboka przyjaźń z matką i wzajemne zrozumienie, troskliwe wychowanie, szerokie wykształcenie; zdrowie... postać smukła, zgrabna a bardzo mocna; bardzo piękna i bardzo szlachetna rasowa twarz, na której się jakby odcisnął duchowy dorobek wielu pokoleń; opanowane, wykwinęte ruchy, zawsze bardzo staranne ubranie; niepojęty czar, czar i urok całej postaci, którym zdobywa oddanych przyjaciół, którym urzeka kobiety.

Siedemnaście lat — pierwsza miłość. W Bad Nauheim, w czasie jednej z podróży zagranicznych... I pierwszy cykl wierszy: przed świtem, „Ante lucem”. Jeszcze niedrukowane, a już w odpisach sławne, już je młodzież zaczytuje w Petersburgu, pochłania w Moskwie, — ukochane wiersze, rewelacja wielkiego talentu, zadatek wiekopomnej sławy... I znów miłość: złota-włosa, surowa i nieprzystępna Liubow' — królowa z dworzyszczą Fausta. I znów wiersze, wiersze, wiersze — o Niej...

Oddych naprasien. Daroga kruta.

Wieczór priekrasien. Stuczu w warata...

Urwista droga bez odpoczynku. Pogodny wieczór. Stukam do wrót. Do tych wrót jeździł na roslym pięknym białym komiu... krętą drogą wśród wzgórz... przez wioskę... — tak dobrze tam znają zgrabną postać młodego, przyjaznego barina i w pas mu się kłaniają przyjaźnie, z szacunkiem... Powroty w nocy, stępa, w świetle gwiazd i robaczek świętojańskich. Do ślubu, do starodawnej zapuszczonej wiejskiej cerkiewki pojadą trójką, z dęgą ozdobioną wstęgami. Wiejski chór zaśpiewa: Zstąp, Gołębico... i Liubow', która jest Charitas czyli Miłość, będzie — jako gołębica. W ekstazie z cerkwi wychodzących spotkają chłopcy z darami. Obyczajem starodawnym, staroruskim. I tak piękni ci młodzi, tak niezmierni, takim światłem promienni, że struchleją weselni goście, poznawszy w tym ślubie Śluby jakoweś, jakoweś misterjum przedziwne i nad głowami młodych widziana jest Gwiazda i szeroko rozeszła się Wieść tajemnicza, trwożliwa i drużba Oblubienicy, graf Razwadowski, posłyszysz w sobie głos, Rosję rzuci i wstąpiwszy w rodzinnej swej Galicji do klasztoru, po latach infulą bikupią głowę swą pono uwieńczy...

Zamyka się pierścień „Wierszy o Pięknej Damie”.

Jakoś niedługo potem znakomity literat i teoretyk, jeden z czołowych naówczas poetów, nieprześcigniony mistrz prozy, „Andrzej Biały” — Andriej Bielyj — wybrał się na wieś w odwiedziny do nowożeńców. Młodzi byli na spacerze: ze wzgórza, gdzie kończą się drzewa ogrodu, skąd widok na łąki i pola — ujrzał Bielyj w oddali ich dwoje. Na tle łąk ukwieconych, w jasnych słońca promieniach — ONA, Liubow' Dmitriewna: w powiewnej różowej narzutce, którą wiatr targa, młoda, silna, zarumieniona, z główką o gładko zaczesanych włosach koloru kłosów... Obok — ON: wysoki i smukły, rozrosły w ramionach, brązowo opalony, bez czapki, w wysokich butach, w przepasanej frendzlastym pasem śnieżno białej koszuli, którą mu żona w czerwone wyszyła łabędzie... Słońce i błękit, łąki kwieciste, cisza ukojna. Nad głowami dzwoniące skowronki.

Po obiedzie — gromadą na spacer. W promieniach zorzy zachodu, w wielkim ściszeniu Andriej Bielyj zobaczył cud: materializowała się poezja, urzeczywistniały się jedyne, najpiękniejsze, stokrotnie powtarzane, wyuczone napamięć wiersze. Każda kępa drzew, każdy zakręt drogi ucieleśniał niezapomniane anapesty, każdy widok rozwijał się w wiadomą strofę. Ktoś się odezwie i zaraz się jego słowa zbiegną, ułożą — w tamte wiersze...

I tak w słońca potokach, w dźwięcznej fali najczystszej poezji, w tchnieniach łąk ukwieconych, w opalowej mgławicy zachwyty — płynęły zaczarowane dnie. Aż raz, na jakimś w dwóch spacerze, w upalne, zniechęciach południe (na tle łąk ukwieconych, w jasnych słońca promieniach...) Błok przemówił. Padły straszliwe słowa. O martwocie opanowującej byt. O tem, że wyrok dawno już zapadł. O losie, upadku, mrokach. O kłątwe ciemnych sił dziedziczności. O zagładzie. Śmierci... I jak śmierć biały słuchał tych słów Andriej Bielyj.

2 RODZINA

W roku Pańskim 1755-tym szlachetnie urodzony Maklemburczyk, Johann Błok wyemigrował z nieznanym powodów do Rosji, gdzie zdobył zaszczytną godność medyka imperatrycy Elizawieży Pietrowny, potem Jekatieriny II-giej, w wojnie siedmioletniej brał udział, z Pawłem podróż zagranicę odbył i w nagrodę za wierną służbę ziemią hojnie obdarzony został. Parał się literaturą. Jeszcze szczerzej obdarowany był syn jego, dygnitarz dworski Nikołaja I-go: jeden z synów tego magnata-obszarnika, Liew Aliksandrowicz, rodzony dziad poety, kolega szkolny Pabiedonoscewa i Iwana Aksakowa, jak i ojciec bardzo wysoki dygni-

tarz, ożenił się z wyjątkowej piękności córką głośnego z despotyzmu i tyranji ziemianina Czierkasowa. Sam znany skąpiec i donżuan, zmarł w szpitalu warjatów. Jeden z synów był petersburskim adwokatem, drugi — głośny z walk o dopuszczenie kobiet do uniwersytetów — profesorem botaniki. W jego rektorskim mieszkaniu w Petersburgu, w czasie gdy nad ranem rozchodzili się studenci z cosobotniego przyjęcia u profesora, urodził się Magnificencji wnuk — wielki poeta rosyjski, Aliksandr Aliksandrowicz Błok.

Matka poety, wnuczka po kądzieli sławnego podróżnika, badacza Azji Środkowej, Karielina, już nie wróciła do męża — posępnego despoty o dzikich, nieokiełzanych namiętnościach, który przez całe życie stał gdzieś na pograniczu genialności i szaleństwa. Który miał w sobie coś z wampira i ludzi przerażał mrokami swej duszy, demonizmem wyglądu. Który jako młody student tak zafascynował Dostojewskiego, że ten zamierzał wprowadzić go jako głównego bohatera do jakiejś zamierzonej powieści... Ten człowiek na śmierć zamęczyłby żonę, gdyby jej, w ciąży będącej, omal że siłą nie zatrzymał w Petersburgu profesor Biekietow — być może już wtedy obawiał się, że i w jego córkach tkwi zaślazek nerwowej choroby: później nieraz będą się one ratować ucieczką na dłuższy lub krótszy czas do neurologicznych zakładów. Matka poety chora na serce i coraz ciężiej zapadająca na epilepsję. Zresztą i córki i żona profesora Biekietowa — matka, ciotki, babka poety — były to kobiety bardzo łagodne, pogodne, dowcipne, wesołe nawet. Wszystkie bardzo muzyczne, o wybitnych zdolnościach literackich, zajmowały się twórczością oryginalną, pisały wiersze dla dzieci, były do brejni, ceniłymi tłumaczkami prozy i poezji. W domu państwa Biekietowych, w domu pełnym muzyki i poezji, ech Puszkina i może jeszcze bardziej Niekrasowa, pełnym wszytkiego, co najcenniejsze i najszlachetniejsze w kulturze rosyjskiego ziemiaństwa, było jasno, czysto, swobodnie, szlachetnie — i pogodne, jasne i czyste było w tym domu dzieciństwo Aliksandra Błoka.

„Tylko, że kiedy chłopczyk miał dziewięć lat wyszła powtórnie zamąż pani Błokowa: cichy, nieporadny Franc Kublickij-Piotuch (to jego mały pasierb nazwał „Franciszkiem”) nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego właściwie nosi na sobie mundur porucznika, pułkownika, generała (nosił go do samej śmierci...). Tak w ciszy starodawnego dworu wniknął zgiełk koszar pułku lejbgwardji: wiele lat przemieszka w nich Błok u matki — najprzód sam, a później z żoną: Liubow' Dmitriewna, złotowłosa córka rosyjskiego Fausta — wielkiego Dmitrija Miendieliejewa.

Ożenił się też powtórnie profesor Błok, Iecz i ta druga żona, półinteligentka, pochodząca z ciemnych sfer ogólniarskich biuralistów, subjektów sklepowych, guwernantów, również opuści go wkrótce. Wróci do swego Petersburga — z małą córeczką, przyrodną siostrą poety, słodką i nieszczęśliwą Angieliną — anielicą zblakana w mrokach wielkiej nocy. I znów profesor Błok sam został. Znów mrok, znów pustka zapuszczonego mieszkania, znów zgroza samotności. Strach — niepojęty i nieodparty... W dalekiem, obcem, wrogiem mieście, w dziko zapuszczonego mieszkaniu, o późnym mrocznym zmierzchu... siadał do fortepianu posępny i obłąkany, złamany geniusz — i grał, grał w zachwycie i nienawiści obce, wrogie melodie, urywał nagle, miotał w mrok pokoju nienawistne i nieodparte, obce, groźne słowa, i znów, i znów grał w zapamiętaniu i pod olowianym, brzemieniem niebem Warszawy do późnej nocy szlochał, groził, szalał profesor Błok, Mickiewicz i Chopin.

POWIEŚĆ TENDENCYJNA

Halina Krahelska: „Polski strajk”, Warszawa. 1937. Tow. Wyd. „Rój”. Str. 247.

„Polski strajk” Haliny Krahelskiej powieść reportażowa, osnuta na tle zatargu zbiorowego w fabryce „Szpilka”, jest książką tendencyjną.

Autorka nie wstydi się tego. Przeciwnie. Podkreśla wyraźnie, że obrała formę literacką zamiast suchego protokołu lub naukowego opracowania warunków pracy w Polsce, „żeby zawarte w tej książce dzieje dosięgły łatwiej umysłów i serc obywateli Rzeczypospolitej, żeby silnie do nich przemówiły”. W innym zaś miejscu wyznaje, że zapomoć tej książki pragnie powiedzieć ludziom, pozbawionym możności ludzkiego życia i walczącym o nią: — nabierz otuchy!

Tragiczna rzeczywistość, na którą jako inspektorka pracy patrzyła i z którą się zmagala, wstrząsnęła nią tak głęboko i napełniła ją takim buntem, że sama myśl „użytkowania” jej jako materiału literackiego budzi w niej odruch sprzeciwu. Pragnie odsunąć wszystko, co mogłoby podnieść walory literackie, ale co osłabiłoby i zaciemniłoby myśl przewodnią, niewaha się, gdy to jest potrzebne, użyć nieco naiwnej i teatralnego frazesu, choć nie jest wcale ani naiwna ani nieskomplikowana.

Tendencyjność jej książki nie jest tendencyjnością niedolnego autora, usuwającego wielkością idei i rewolucyjnymi frazesami zamaskowaną ubóstwo środków artystycznych.

Zwarta konstrukcja książki, unikanie dzielenia ludzi na jasne i czarne charaktery — zależnie od przynależności klasowej, przeniesienie punktu ciężkości z zagadnienia dobrej czy złej woli jednostek na tragiczny spłot warunków, wypływających z ustroju kapitalistycznego, bogactwo czasem wręcz świetnych typów, wskazują, że ta doskonała publicystka jest także dobrze zapowiadającym się powieściopisarzem.

Tendencyjność Krahelskiej jest świadomą postawą bojownika, poświęcającego dzieło walce.

Jest coś dziwnie wrzuszającego w tej postawie. Nadaje ona książce piętno bezpośredniości, szczerości i prawdy, a jej radosny optymizm, płynący nie z zamykania oczu na rzeczywistość, lecz z wiary w zwycięstwo jest zdrowy i pokrzepiający.

HALINA GÓRSKA

POEZJE TETMAJERA

Kazimierz Tetmajer: Wybór poezji, opracował Jan Lorentowicz, Lwów, Biblioteka Narodowa, serja I, nr. 123, Wyd. im. Ossolińskich.

Pięćdziesięcioletni jubileusz Kazimierza Tetmajera miały w znowie milczenia. W zgiełku spraw nieważnych nie odzwiały się głosy, przypominające to nazwisko, które kiedyś elektryzowało najszersze rzesze czytelników, które miało dźwięk i błysk najszlachetniejszego kruszcu.

Tetmajer znikł z naszej rzeczywistości. Wpadł w łaskę zapomnienia i zwolna staje się tylko pozycją bibliograficzną.

Radośnie więc musimy podkreślić fakt, że w tej atmosferze zapomnienia Ossolineum wydało dla wielu obiecujący wybór jego poezji. Wybór ten do druku przygotował Jan Lorentowicz. We wstępie kompozytor poza życiorysem omówił twórczość poetycką, powieściopisarską i dramatyczną poety, powtarzając (z małymi zmianami) swoją rozprawę z roku 1915, zamieszczoną w trzecim tomie „Młodej Polski”. Dziwnie obco brzmią słowa o poecie, pisane przed blisko ćwierć wiekiem.

Analiza twórczości Tetmajera, zamieszczona we wstępie, nie zadowala i nie może zadowolić dzisiejszego czytelnika. Tetmajer jest dziś zjawiskiem ukończonym — zjawiskiem, którego uchwycenie, opisanie i zrozumienie umożliwia perspektywa następujących lat. Powtarzanie sądów, ferowanych w tym czasie i atmosferze, kiedy Tetmajer był fenomenem o stygmatkach zjawiskowości dziś jest mocno nieaktualne. Pod tym względem patrząc wyda się nam cały wstęp Lorentowicza mało wartościowy, zbyteczny i... a to przedewszystkiem — przestarzały.

Od roku 1913 teoria literatury urosła do powagi nauki. Prócz dzieł obcych, nawet w ubogiej literaturze polskiej mamy szereg wartościowych pozycji z dziedziny teorii literatury (Kleiner, Kucharski, Ostap Ortwin i inni). Dlatego też omówienie twórczości Tetmajera powinno mieć jakiś kościół teoretyczny, komentator powinien przyjąć jakąś postawę badawczą, a nie pisać profetyczne impresje, może nawet nie nudne i napewno orientujące, ale wartościowe chyba w roku pańskim 1913 — tembardziej, że „Biblioteka Narodowa” jest w pewnym stopniu wydawnictwem naukowym.

Czytelnik rozprawy Lorentowicza w roku 1913 był u siebie w domu, Tetmajera czuł i rozumiał, bo żył w tej samej atmosferze i wśród tych samych emanacji co twórca. Gorzej jest z czytelnikiem dzisiejszym; ten odczuje może Tetmajera, ale nie zrozumie Lorentowicza bo od sądów autora pełnych dwadzieścia pięć lat. Konieczny więc był wstęp, w którymby komentator odmalował coś w rodzaju tła historycznego. Widać, że nikt tak jak Lorentowicz tego nie umie zrobić. Sady o poecie i poezjach, „pisane kiedyś na gorąco”, miały dość czasu przez ćwierćwiecze się ostudzić, powinny być oddane gruntownej rewizji i oparte na trwałych podstawach krytycznych. Nie zadowala i nie może nas zadowolić „opowiadanie” o tem, jakie rodzaje literki uprawiał Tetmajer, bo tego się nauczymy sami z lektury. Wolelibyśmy zobaczyć drogą jaśniejszą ewolucji doskonałości się talent poety, jakie były motory tej ewolucji nie tylko w życiu poety, ale w otaczającym go świecie. O walorach formalnych wierszy Tetmajera Lorentowicz mówi bardzo mało, a to właśnie byłoby arcydziwne, umiejscowilibyśmy nam poetę między dawnymi a dzisiejszymi laty.

Najciekawszą i najwartościowszą partią wstępu jest ustęp „Legenda góralska”. To, co nam autor mówi o „Skalnym Podhalu”, nie jest może nowe, ale nie straciło niczego ze swej wartości obiegowej. Chybnym zatem jest ustęp „Powieści i nowele”. Zamiast podkreślić, co w powieściach Tetmajera ma wartość długotrwałą (satyra i dialogi), autor streszcza anegdoty powieści i rozdziela banalne, niepotrzebne pochwały.

Wybór poezji, dokonany inteligentnie, orientuje naogół czytelnika w Tetmajera ale, by go poznać i pokochać, trzeba go czytać nie w „wyborze”.

Wśród rzeczy góralskich daremnie szukaliśmy najładniejszego i najpopularniejszego utworu — „Marszu zbójczego ze Skalnego Podhala”.

Załowaliśmy również choć jednej „Bądź zdrowa” i niezapomnianego „Pour passer le temps” — no, ale jak „wybór” to „wybór”.

Tetmajer jest pierwszym żyjącym poetą, którego wydała „Biblioteka Narodowa”; świadczą o tym jego antyczności, wolę sobie to jednak tłumaczyć, jako zaszczytne wyróżnienie, które spotkało prawdziwego i prawdziwie wielkiego poety.

P. S. Kiedyż „Biblioteka Narodowa” wyda „Wybór” Kopnickiej?

TADEUSZ BANASZ

Bronisław Krystyn Wierzejski: Forty na piasku, Warszawa.

„Forty na piasku”, to reportaż z podróży po Tripolitanii, którą autor odbył w roku 1934. O kolejach tej podróży opowiada autor w sposób inteligentny i interesujący. Z kart książki przeczera bystry dar obserwacji i talent gawędziarza. Te zalety autora pozwalają nam nieraz dojrzeć jego oczyma rzeczy, na które niezawsze on sam zwracał uwagę. I tak patrzymy na rakiety entuzjazm Włochów, eksplodujące na wiek mundur generalnego lub eskadry samolotów, zagładamy do ociekających brudem i oblaźłych robactwem chat tużbyłców, którym ofiaruje się kulturę i niewolę, uczestniczymy w lekcji, po której kolorowe bachory robią „spontaniczne” manifestacje, śpiewając — po arabsku czy jak tam — „Giovinezze”. Zwiędzamy obiekt wojskowe i dochodzimy do wniosku, że Włochy do wojny były nieźle przygotowane. Barwne opisy krajobrazów i piękne ilustracje dopełniają całości książki. Szkodzi jej młodzieńczy brak zmysłu selekcji, ale widać w niej nieźle obserwatora i dobrego sprawozdawcę.

EPOKA

CZASOPISMO NIEZALEŻNE, SPOŁECZNO-POLITYCZNE I LITERACKIE

Epoka broni zasad wolności i sprawiedliwości, oświeśla najważniejsze sprawy naszych czasów, zamieszcza artykuły i utwory wybitnych pisarzy

Prenumerata kwartalna zł. 3[—]

Redakcja i administracja: Warszawa, ul. Pierackiego 1. 13

tel. 213-90. Konto P. K. O. 26-630

PRZEGLĄD PRASY

„Przeгляд powszechny”, miesięcznik Jezuitów, „poświęcony sprawom religijnym, kulturalnym i społecznym”, przynosi w numerze lutowym artykuł J. Skalińskiego o nowej taktyce Kominternu. Autor zna przemiany, jakim ulegały partia komunistyczna i Sowiety i widzi w taktyce „frontu ludowego” wielkie niebezpieczeństwo dla katolicyzmu. Według Skalińskiego trudno jest stworzyć w Polsce „front ludowy” z trzech przyczyn: 1) stosunek innych ugrupowań do obecnego systemu rządowego, który zdaniem komunistów jest faszystowski; 2) zależność Komunistycznej Partii Polski od rządu sowieckiego („obce agentury”); 3) nielegalność partii komunistycznej. Autor świadomie podciąga pod nazwę „bolszewicki” czy „komunistyczny” również ugrupowania demokratyczne i socjalistyczne i wzywa do bezwzględnej z nimi walki. „Wobec groźnej jednolitości elementów prokomunistycznych, musi zaistnieć wzajemne porozumienie i współdziałanie czynników walczących z komunizmem. Porozumienie to, o ile ma dać pozytywne wyniki, opierać się musi o wspólną i obojętną w najbardziej podstawowych sprawach”. Ta ideologia, to: polityka „narodowa”, Polska chrześcijańska, ściśle katolicka i korporacjonizm.

Witold Bronowski, omawiając konflikty na Dalekim Wschodzie, z sympatją, z entuzjazmem niemal głosi chwałę imperjalizmu i militarizmu japońskiego. Członkowie lig patriotycznych (faszyści i imperjaliści japońscy) „są to idealisci i entuzjaści, walczący z oportunizmem politycznym i gospodarczym — w imię tradycji moralnej, potęgi i wielkości ojczyzny. Armia japońska jest dzisiaj bowiem doniosłym czynnikiem życia publicznego. Pod jego wpływem cały naród japoński znajduje się ciągle w gotowości... Imperjum Wschodzącego Słońca napewno nie dozna zawodu ze strony swojej armii”. Sojusz z Niemcami i Włochami i wpływy w Chinach każą autorowi wierzyć w zwycięstwo Japonii.

Teodor Parnicki mówi o „poszukiwaczach Boga” w literaturze rosyjskiej przedwojennej i współczesnej, emigracyjnej.

Ks. Edward Kosibowicz, redaktor pisma, rozpatruje zagadnienie roli religii i kościoła w szkolnictwie polskim. Choć stwierdza, że religia katolicka jest w szkole uprzywilejowana, że kościół ma na szkolnictwo wpływ niemal decydujący, domaga się jednak wprowadzenia szkoły wyznaniowej. „Możemy i musimy mobilizować katolicką opinię publiczną dokoła problemu szkolnego, by przeprowadzić zasadę szkoły wyznaniowej i to nie prywatnej, ale publicznej, państwowej z publicznych utrzymywanych funduszów”. To „kategoryczne żądanie katolickiej szkoły wyznaniowej” jest nowym objawem ofensywy kleru na Polskę.

„Nowa Kwadryga” pod redakcją St. R. Dobrowolskiego „nie jest już jak kiedyś organem grupy literackiej. Jest piśmie otwartym dla wszystkich, którym los kultury opartej o demokrację jest jak własny”. Redaktor pisma kreśli historię dawnej „Kwadrygi”, istniejącej w latach 1927—1931 i daje takie wyznaczenie wiary: „...fala reakcji i barbarzyństwa zalała połowę Europy. Kryzys wszystkich dotychczasowych form życia ludzkiego się pogłębił przybierając niespotykane dotychczas rozmiary. Komu leży na sercu los kultury europejskiej, ten rozgląda się wokół z rozpaczą za środkami ratunku. Geszefciarze z imieniem kultury na ustach, tumaniąc tłumy, bez skrępowań orydnarnie, po chamsku przystępują do grabieży w walącym się domu... Jednocześnie nędza nas radykalizuje te masy i pcha je do walki o gruntowne zmiany stosunków społecznych. W imię sprawiedliwości, w imię prawdziwego ładu i trwałego pokoju, w imię braterstwa ludzkiego czyli szczerzego humanitaryzmu. Oto hasła nowoczesnej demokracji... Stare hasło sztuki uspołecznionej poczęło nabierać nowych rumieńców na tle powszechnej radykalizacji robotników, chłopów i drobniomieszczan. Zagadnienie demokracji tylekroć skompromitowane przez jego fałszerzy poczęło się domagać postawienia go jasno i mocno. Demos-lud. Więc nie demokracja pijawek, ale demokracja ludowa. Nie demokracja na użytek uprzywilejowanych a demokracja pracujących. Sztuka uspołeczniona? Sztuka walcząca o sprawiedliwe formy życia zbiorowego. Któż ma walczyć o to? Lud. Więc sztuka nie dla garści wybranych a dla mas ludowych... To nie znaczy jakaś popularna sztuka ludowa Biblia pauperum. Nie. To tylko wzbudzenie i tak rosnącego już zainteresowania mas ludowych sztuką i jej sprawami po to aby uczynić z tego ludu najpewniejszego gwaranta obrony kultury. Więc żadnych ograniczeń i zwiężeń dla sztuki, prócz tego jednego warunku, by była wiernym odbiciem rzeczywistości. By nie było w niej fałszów cechujących sztukę na usługach geszefciarzy — takich czy innych”.

W pierwszym numerze wiersze St. Ciesielczuka, Wł. Słobodka, Al. Maliszewskiego, St. R. Dobrowolskiego i L. Szewalskiego, fragmenty prozy H. Boguszewskiej i J. Kornackiego oraz E. Szymplńskiej-Sobolewskiej. Całość zdobi reprodukcja drzeworytu T. Kulisiewicza.

„Światło”, miesięcznik socjalistyczny, w numerze lutowym przynosi: artykuł Z. Zaremby o dorobku ideologicznym ostatniego kongresu P. P. S., omówienia przemian w światowej sytuacji gospodarczej, dorobku Nadzwyczajnego Kongresu Stronnictwa Ludowego, przemian politycznych we Francji i w Finlandii oraz recenzje i notatki.

„Lwów Literacki” w drugim numerze zajął już jasną pozycję. Gdy w pierwszym stawał w obronie demokracji i humanizmu, obecnie zupełnie niedwuznacznie uprawia kult totalizmu. Szczególnie niesmaczny jest artykuł wstępny Andrzeja Kruczkowskiego w sprawie Rzymowskiego. Można zwalczać przeciwnika ideowego, można go zwalczać namiętnie i bez pardonu — ale nie można jednak równocześnie być lokajem i lizusem. Nie ma nic wspólnego z jakakolwiek etyką i uczciwą publicystyką (a raczej z robotą policyjną) ogłaszanie prywatnych wyrznięć człowieka atakowanego, zwłaszcza gdy się samemu tych wyrznięć nie słyszało. „Natomiast wiadomo wszystkim we Lwowie, że w części nieoficjalnej Zjazdu (Pracowników Kultury we Lwowie) Rzymowski był aż nadto wymowny. O okropnościach polskiej rzeczywistości i o okropnościach obecnego systemu politycznego on właśnie najwymowniej rozpowiadał. W towarzystwie tych samych ludzi, do których „nie chciał” przemawiać na sali obrad Zjazdu”. Takie postawienie sprawy (od strony dziurki od klucza lub ucha wywiadowcy) dyskredytuje całkowicie autora w opinii publicznej. Z innymi wywodami nie warto nawet dyskutować. Nie zasługują na to.

W numerze pozatem artykuły B. Zubrzyckiego, St. Kawy na (omówienie książki Świętochowskiego, Jeża i Limanowskiego), T. Parnickiego („Puszkinistyka polska”), Ostap Ortwin (recenzja z „Wolności tragicznej” Wierzyńskiego), B. W. Lewickiego („Film po jubileuszu”). Na uwagę zasługują notatka T. Parnickiego o „megalomanji narodowej”.

„Wiadomości Literackie” (nr. 691) przyniosły rewelacyjny artykuł J. N. Millera „Renesans katolicki a rozwój społeczny”. Autor rozważa obecny stosunek wzajemny katolicyzmu, socjalizmu i komunizmu w Polsce i stwierdza, że kraj nasz dzieli się coraz bardziej na narodowo-katolicki i radykalny, walczący o przemiany społeczne. Grozi nam to, co jest obecnie w Hiszpanji. „...Obozy katolicki i narodowy, dające się u nas, niestety, bezmała utożsamiać, zdradzają wybitną nerwowość i agresywność, która może doprowadzić do nieobliczalnych konsekwencji. Oboz radykalny walki czynnej nie unika i nie ma powodu jej się obawiać. Pomimo wszelkich represyj,

siły jego rosną z chwili na chwilę, gdyż nierozwiązalne w danych warunkach trudności gospodarcze syją je i wzmagają.

Niemniej jednak ani dobrobyt ani kultura zbiorowa narodu i społeczeństwa niewiele zyska na wprawieniu w ruch młota, który tak łatwo potem nie da się zatrzymać i ciężarem swoim przyniesie obydwie strony. Póki więc czas jeszcze, póki można argumentować, należy szukać pomostu i platformy, umożliwiającej współzycie, nie likwidując zresztą samej walki, która zlikwidować się całkowicie nie da, lecz nadając jej ludzkie, parlamentarne — nie zwierzęce formy.

Kościół, gdyby go stać było na zajęcie w walce między kapitałem i pracą stanowiska nadrzędnego i rozjemczego, miałby do spełnienia olbrzymią rolę i pole pracy, nie zroszone dotąd mimo przysięgę frazesów, deszczem życiodajnym etyki chrześcijańskiej”.

Miller wskazuje, że są autorzy, nie wykluczający możliwości pogodzenia socjalizmu i religii, że socjalizm zasadniczo przeciw religii nie występuje, uznając ją za rzecz prywatną każdego człowieka.

Sprawa została postawiona jasno: czy jest możliwa współpraca polskiego socjalizmu i polskiego katolicyzmu? Dyskusja nad tem zagadnieniem jeszcze się nie rozwinęła. Karol Górski w „Czasie” napisał odpowiedź arogancką i uszczypliwą. Poważnie tę rzecz potraktował młody, niezwykle zdolny katolik (raczej w znaczeniu francuskim) Ksawery Pruszyński w „Odnówie” (nr. 11) gdzie rozpoczął dłuższą rozprawę na ten temat. „Też, że zgodne życie katolicyzmu i socjalizmu jest w zasadzie zupełnie możliwe, autor (J. N. Miller) poparł szeregiem świadectw, których ilość moglibyśmy tutaj jeszcze powiększyć. Polska, kraj o nader szerokim, choćby nawet i powierzchniowym, zasięgu wpływów katolickich, jednocześnie kraj o tylu socjalnych zagadnieniach, może wydawać się przedystynowanym do przeprowadzenia, bez oglądania się na przeszłość, takiej próby współzycia, w większej niż gdzieinąd skali. Czynniki, kierujące katolicyzmem i socjalizmem, mogłaby raczej taka próba zachęcać: czyż kto zaprzeczy, że w razie jej pomyślnego wyniku nie nabrałaby znaczenia sięgającego daleko poza granice jednego kraju, że mogłaby stanowić punkt zwrotny, ważny kamień milowy, znaczący drogę dziejową tak jednej jak i drugiej doktryny?”

Ksawery Pruszyński drukuje w „Wiadomościach Literackich” pełne szlachetnego objektivizmu korespondencje i reportaże z nobutu w dzisiejszej Hiszpanji. Szczególnie interesująca była „Droga do Bilbao” (nr. 693), „Faktomontaż” o pojedynku i śmierci Puszkina drukuje Julian Tuwim (nr. 694). Boy opisuje dalsze dzieje Marysieńki i Sobieskiego. Będzie to zapewne pierwsza polska wielka „vie romances”. Ukazuje się, jak nas informują, nakładem wydawnictwa „Książnica-Atlas”.

„Prosto z mostu” ogłosiło ankietę: „Jaka najciekawszą książkę przeczytałem w r. 1936”. Redakcja zwróciła się do grupy pisarzy z prośbą o odpowiedzi. Są one najróżnorodniejsze i równocześnie mało miarodajne. Trudno na ich podstawie osądzić, jaka książka była najciekawsza, a raczej — co każdego z odpowiadających interesowało. Następnie — krąg odpowiadających ogranicza się niemal tylko do sympatyków pisma (t. zw. inteligencja narodowa), więc ogólny ton odpowiedzi jest jednostronny.

„Naprzełaj”, miesięcznik kulturalno-społeczny, to sympatyczne pismo starszych harcerzy wileńskich, pragnących w życiu realizować wyznawane idee. Należy je powitać z radością i uznaniem: że jest jeszcze młodzież uczciwa i rozsądna, walcząca o swoje ideały z godnością i poczuciem odpowiedzialności. To pocieszające.

Drugi numer został sksfiskowany za artykuł o Białorusinach.

„Pion” (nr. 174) przynosi artykuł Jaromira Ocheduski „Saga Forsyte’ów”, w którym autor dowodzi, że... „misja ludzi intelektu nie jest branie czynnego udziału w wydarzeniach politycznych: niech każdy uprawia swoje rzemiosło. Pisarz powinien być w pierwszym rzędzie sędzią, którego obowiązkiem jest natychmiastowa interwencja w chwili, gdy zasady zgodne z jego sumieniem są w niebezpieczeństwie”. Autor obawia się inwazji mas w dziedzinie twórczości i kultury. Kultura jest tylko dla wybranych jednostek. „W budowaniu zrebów kultury, w uspołecznianiu życia polskiego znaczący mogą, jeśli nie tylko, to przedewszystkiem jednostki, idące naprzód w przeświadczeniu, że albo dojdą albo zginą”.

„Epoka” jest dwutygodnikiem demokratycznym. W każdym numerze przynosi aktualne artykuły polityczno-społeczne, literackie, recenzje, sprawozdania i omówienia ciekawych wydarzeń. Pismo walczy z nadchodzącym barbarzyństwem, z dyktaturą i totalizmem.

„Okolica Poetów” drukuje artykuł St. Czernika „Zagadnienie poezji religijnej”. Są to uwagi na marginesie rozważań Claudela o religii i poezji. Sprawy religijne zaczynają coraz bardziej interesować koła laickie.

„Życie Świadome”, kwartalnik, poświęcony zagadnieniom reformy seksualnej i obyczajowej przynosi w ostatnim (4) zeszytce szereg aktualnych artykułów popularno-naukowych z dziedziny spraw obyczajowych, eugeniki, regulacji urodzin, seksuologii i t. d.

K. K.

„NASZA OPINIA”

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY I LITERACKI

STALE DZIAŁY:

L I T E R A C K I
K O S T U M I E C Z Y
S A T Y R Y C Z N Y
Ś W I A T M Ł O D Y C H
Z T Y G O D N I A N A T Y D Z I E Ń
P R Z E G L Ą D P R A S Y Z A G R A N I C Z N E J
D Z I A Ł G O S P O D A R C Z Y

WYBITNI PUBLICYSŃCI I LITERACI NAŚWIETLAJĄ AKTUALNE ZAGADNIENIA POLITYCZNE, KULTURALNE I GOSPODARZE

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
LWÓW, ULICA BIEŁOWSKIEGO L. 5

„SYGNAŁY”

należy czytać

prenumerować
rozpowszechniać

„KROPIWNIKI”

Sydor Rey, Zespół Literacki „Przedmieście”: „Kropiwniki”. Powieść. Warszawa 1937. F. Hoesick.

Rey operuje materiałem szczególnie trudnym i niewdzięcznym. „Kropiwniki” to rzecz o wschodnio-galicyskim miasteczku i przemianach, jakie w tym miasteczku zachodzą od porobowierczego usadowienia się tam władzy austriackiej aż do dni dzisiejszych. Można mieć zastrzeżenia co do literackiej „fotogeniczności” tego rodzaju historycznych tematów; pisarz który na 400 stronach powieści zamyka 150 lat życia i rozwoju środowiska, musi pominąć wiele spraw istotnych i ważnych i musi usunąć na drugi plan jedno z najważniejszych swych zadań: możliwe najgłębsze wnikięcie w człowieka. Rey ten ogromny 150-letni okres rozparcelował w swej powieści rozumnie i w proporcji, wynikającej z ilości materiału, starał się zgłębić ludzi, którymi operował. Niektóre jego uwagi celują też psychologiczną trafnością i odkrywczością. Ale i tu zaciążył pierworodny grzech; personel powieści to nie ludzie żywi, pełni sprzeczności, ale laboratoryjni reprezentanci faz historycznych i społeczno-rozwojowych.

Ustrój feodalny w Austrii otrzymał pierwsze ciosy za rządów Józefa II. Kropiwniki należały wtedy do Antoniego Kopostyńskiego. Kopostyński zamiera wraz z systemem; przed śmiercią buduje w Kropiwnikach kaplicę, podobną do chłopskiej chaty, aby wieś przyciągnąć na swoją stronę w rojonej rozprawie z władzą cesarską. Z ograniczeniem władzy szlacheckiej rozpoczyna się emancypacja Żydów. W Kropiwnikach Jose! Geller pierwszy wydostaje się z mroków ghetta. interesuje się wiedzą świecką, wyjeżdża do Wiednia, dostaje katedrę. Pierwszy egzamin z nielalmudycznych wiadomości zdał prof. Geller przy odbudowie starej, jak głosi legenda, pamiętającej czasy Sobieskiego, kropiwnickiej bóżnicy. Dzieło rozpoczęte przez Józefa II kontynuują jego następcy, Austrija rozwija przemysł i handel, ale Galicja jest nadal kolonialnie zacofana i eksploatowana. Wnuk Kopostyńskiego — Witold Postrucki — stara się o przeprowadzenie linii kolejowej przez Kropiwniki, a gdy to się mu nie udaje, inwestuje swoje kapitały w korzystającym z dogodniejszych warunków przemysle innych prowincji Austrii. Kropiwnikom zaś pozostawia kościół, będący odbiciem jego mieszczańskiej postępowości i szlacheckiego zacofania. Kropiwnikom przybywają w późniejszych latach jeszcze dwie świątynie: cerkiew wystawił wzbogacony chłop, bóżnicę wzbogacony Żyd.

Dzisiejsze Kropiwniki?

„Luźnie (tam) podzielili się na dwa obozy. Do jednego należeli wszyscy skłonni do samobójstwa z nędzy, do drugiego zaś — skłonni do zabójstwa”.

Na starych domach bożych powiewają w pierwszomajowe swity jaskrawe sztandary nadchodzących przemian, które Kropiwnikom dadzą chyba więcej, aniżeli kościoły, bóżnice i cerkwie.

Obfitość materiału narzuciła Reyowi najdalej idącą ekonomiczną słowo. W czytaniu wydaje się to oschłość, wyczuwa się jednak pod nią niedwuznaczne sympatie autora dla ucieszonych, ich walki wyzwolenczej i dla postępu.

Dydaktyzm Reya jest postawiony niewłaściwie. jest zbyt beceremonialny i wskutek tego wywołuje efekt przeciwny od zamierzonego. Sztuka jest dydaktyczna, ale nie wolno jej być belferską. Poszczególne partie powieści są dość silnie powiązane z jej ośrodkiem, rozgrywającym się współcześnie, ale są za słabo powiązane ze sobą.

Rey nie posługuje się jednak efekciarskimi fajerwerkami. ambitnie rezygnuje z błyskotliwości, starając się dać wartości trwalsze.

LUDWIK ZANO

WYJAŚNIENIE

„Rozmowa o humanizmie” („Sygnały” nr. 25) „Powrót Torquemady” („Sygnały” nr. 27) oraz następny fragment „Rozmowa o postępie” stanowią części rozdziału trzeciego pracy p. t. „O sensie naszej epoki — pamiętniki sir Williama Turrera”. Rozdział ten naci tytuł: „O nowem średniowieczu i o nowem odrodzeniu, czyli rozmowa o humanizmie, o tem jak Don Kichot pragnie wskrzesić Torquemadę oraz jak Hamlet z Maratem kpią z niego pospół, by poróżnić się, gdy mowa będzie o postępie”.

Autor artykułu p. t. „O humanizm socjalistyczny” p. Marek Fritzhand („Sygnały” nr. 26) pospieszył się zatem ze swą pełną temperamentu odpowiedzią. Pomijając chwilowo meritum sprawy, do której Marat wróci w swej „Rozmowie o postępie”, z polecenia mego najszerzej — acz wyimaginowanego — przyjaciela Turnera, w którego imieniu szanowny polemista zechciał łaskawie przemówić, spieszę zaznaczyć, że sir William z mistyfikacją swojej osoby nic wspólnego nie ma.

Jest liberałem starej angielskiej szkoły. Takich liberałów spotykaliśmy — i spotykamy — również w Polsce. naprzykład w osobie nieodżałowanej pamięci szlachetnego profesora Pe-trażyckiego. (Nie mieszać z senatorem tegoż nazwiska). Jako sumienny badacz XX-go wieku, wie, jaką rolę odegrała w naszych czasach dialektyka i bynajmniej jej nie postępuje. A przedewszystkiem zdaje sobie sprawę, że tam, gdzie socjalizm nie stał się kapliczką kilku ludzi, tylko jest ruchem masowym, zawsze pozostał związany z teoriami Marxa, które — pomimo niektórych karkołomnych usiłowań, bez dialektyki nie są do pomyślenia. Sir Turner nie będąc sam ani socjalistą, ani tembardziej marxistą, z uśmiechem ironii spogląda na młodzieńców, hasających lekkomyślnie po dorobku myślowym XIX. wieku, jak wolni strzelcy alpejscy. Odrzuca wszelkie prostactwo myślowe. Zatem — aczkolwiek sam nie zgadza się z tym poglądem — rozumie, że niema sprzeczności między klasowym punktem wyjścia a ogólnoludzkim celem humanizmu w jego maratowskiej interpretacji. Poza to sir Turner nie znoś nagminnych przesądów, tyjących hamletyzmu, jakoteż ubronzowionych pojęć o donkichotyzmie. Poza to, jako historyk, zna Turner dzieje stosunku Marata do terroru, jakoteż pamięta. skąd to padły argumenty, uzasadniające i usprawiedliwiające czyn Charlotty Corday...

Sir William Turner prosi więc usilnie ewentualnych oponentów Marata, Hamleta i Don Kichota, by w jego imieniu nie przemawiali, sam zaś zabierze głos w ostatnim rozdziale swych pamiętników. A to, co powie, nie ma nic wspólnego ze słowami szanownego autora artykułu „O humanizm socjalistyczny”.

JERZY BOREISZA

Czytajcie

„SZPIŁKI”

Redaktor odpowiedzialny TADEUSZ BANAS.

K R O N I K A

— Nakładem „Ossolineum” ukazała się monografia Henryka Rodakowskiego, napisana przez zmarłego przed rokiem profesora lwowskiego uniwersytetu, Władysława Kozickiego. Rodakowski (1823—1894) jest według autora jednym z największych obok Michałowskiego malarzy polskich XIX. w. przedewszystkiem jako pierwszorzędnym portrecista. Książka wydana starannie, zawiera liczne reprodukcje dzieł Rodakowskiego.

— „Religia w Trzeciej Rzeszy”, to tytuł obszernej pracy naukowej prof. Leona Halbana (Archiwum Lwowskiego Towarzystwa Naukowego). Praca jest źródłowa, przedstawia z punktu katolickiego widzenia ideologiczne założenia narodowego socjalizmu i jego stosunek do różnych wyznań. Na marginesie tej notatki należy zauważyć jedno: w szeregu prac wydawanych przez różne Towarzystwa Naukowe, prac mogących zainteresować tylko specjalistów, znajdują się niekiedy dzieła, które powinny zająć szerszy ogół czytelnicy. Towarzystwa Naukowe tak jednak ukrywają swoje wydawnictwa że poza nieliczną garstką wtajemniczonych, nikt prawie o nich wie. Jest to zdaje się skutkiem tego, że organizacja sprzedaży nie spoczywa w fachowych rękach.

— Został wywieziony do Berezyn młody poeta i satyrk, Leon Pasternak.

— W Krakowie skonfiskowano tom wierszy Lecha Piwo-wara.

— Swiatosław Hordynski wydał tomik „Słowa na kamieniach — rymski jamby”. O jego ideologii dać pojęcie taki fragment:

„Uczuś imperskoj azbuky,
Uczuś: prochodyty szczodnia
Siudy, pod Trijumfalnym Łukom,
I na riźblenoho konia

Sidaty wpewneno i hordo.
Styskaty łajpoju mecza,
Westy do nastupu kohortu,
Worożych branciw zustriczat’

Słowamy władnymi, rizkymy,
Uczuś sobi kazaty; idy,
I w serci marmur swoho Rymu
Riźby surowyj i twerdyj!”

— W styczniu r. b. ukazało się ukraińskie pismo bibliofilskie „Ukraińska Knyha” jako organ Komisji Bibliologicznej Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki i Ukraińskiego Towarzystwa Bibliofilów. Redaguje J. J. Peleńskvi.

— Nagroda literacka Towarzystwa Ukraińskich Pisarzy i Dziennikarzy im. J. Franki za rok 1936 nie wywołała takiego poruszenia, jak poprzednia. Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu. Drugą nagrodę otrzymała Natałena Korolewa, powieściopisarka katolicka. Jej utwory: powieść „1313”, szkice „Wo dny ony”, wspomnienia „Bez Korinnia” i opowiadania „Inak-szyj świt”. Trzecią nagrodę otrzymał pisarz nacjonalistyczny Jurij Łypa za zbiór opowiadań „Notatnyk”. Łypa jest poetą nowelistą, dramaturgiem i autorem powieści „Kozaky w Moskowiji”.

— Został aresztowany i wywieziony do Berezyn Kartuskiej młody poeta Aleksander Hawryluk. Ostatnio kończył powieść z życia chłopskiego. Ma lat 25, jest chłopem samotnikiem. Zwrócił na siebie uwagę na konkursie literackim nowelą „Naiwny murzyn”.

KORESPONDENCJA

Redakcja udziela odpowiedzi tylko w dziale „Korespondencja”, niezamówionych rękopisów zasadniczo nie zwraca. Prace, umieszczone w „Sygnałach”, nie są honorowane.

F. H. Przekłady z ukraińskiego nie są dobre. Brak znajomości języka polskiego. Nie będą drukowane.

L. L. Łódź. Artykułu o książce Zweiga nie będziemy drukowali.

J. K. Pruszków. Wierszy satyrycznych nie umieścimy.

M. G. Tarnów. W ten sposób nie można nigdy pisać. Są pewne normy polemiki czy dyskusji, których nie wolno przekroczyć. Dyskusję zamknęliśmy. Zasiłamy pozdrowienia.

J. H. Wilno. Utwory satyryczne nie będą drukowane.

Lidja. Lwów. Wiersz nie do druku.

M. F. Stryj. Artykułu nie będziemy drukowali.

A. P. Warszawa. Wiersze będą drukowane.

A. W. Warszawa. Wiersze satyryczne nie do druku.

H. W. Zakopane. Dziękujemy za życzliwe uwagi. Będziemy się starać z nich skorzystać.

Trybuna Robotnicza
tygodnik

JEDYNY W MAŁOPOLSCE ORGAN SOCJALISTYCZNY

broni praw człowieka pracy
walczy o równość społeczną, postęp, kulturę mas i socjalizm
przynosi wiadomości z dziedziny politycznej, zawodowej i społecznej

WYCHODZI KAŻDEGO TYGODNIA W CZWARTEK

Cena egzemplarza 20 gr. Prenumerata kwart. 220 zł.

Adres Redakcji i Administracji Lwów, ul. Fredry 1. 6
Przekazy rozrachunkowe Nr. 55

Egzemplarze okazowe na żądanie bezpłatnie

Czytajcie „S Y G N A Ł Y”



rys. K. Baraniecki

MELODJE CYGAŃSKIE

List adepta zakładu fryzjerskiego

Gołąb z gołąbkim cicho zaśnie,
ma swoją krówkę każdy wolek —
panna Zosińska dla mnie właśnie
jako ten labędz i fijołek.

Mój ty ty promyczku, słońce, złotko,
byłaby z nas dobrana parka;
ziarnko do ziarnka, będzie miarka,
jak piesek z pieskiem, kotek z kotką.

I chciałem jeszcze się pochwalić
snem, który mi się wczoraj przysnił:
widziałem cię, jak z sobą sziłmy
w seledynowej mgle oddali.

JERZY ZAGORSKI

DO PEWNEGO POETY

Pan jest „ponadpartyjny”, pan jest „ponadklasowy” —
W Simie i Ipsie, w Ziemiańskiej, u Fronta —
„Ludzkość” — pan mówi — „zawracanie głowy”.
Albo: „Pic fotomontaż”.

Gdy jest pan „ponad”, wogóle „powyżej”.
ma pan dla słowa balwochwalczy kult
i szepcząc „Poezja!” Zuzannie czy Mirze
duszyczka polata — ubi vult.

„Poezja! Poezji! Poezję! Poezjo!”
Te oczy! Czupryna! Ta dykcja! Ten głos!
Skandując nosowo przesłodkie słowo,
jest pan uroczy wprost!

Wychodząc zaś z Ipsu, z Ziemiańskiej od Fronta
jest pan już inny, „bezkompromisowy”.
„Sztuka dla sztuki!” „Pic fotomontaż”.
Lub: „Zawracanie głowy”.

I jest pan „twardy” i tak nieskończenie
„nienawidzący” — w zaciśnięciu szczęk
i ma pan (przepraszam za wyrażenie)
antypaństwowy szyk i wdzięk.

I wtedy „Hiszpanja! Hiszpanji! Hiszpanjo!”
Te oczy! Te usta! Ta dykcja! Ten głos!
Skandując nosowo przemodne słowo
jest pan uroczy wprost!

LEON PASTERNAK

KONTO „S Y G N A Ł Ó W” w P. K. O.
503.400

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 4
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 18—19

PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2*60 zł., kwartalna 1*40 zł.
Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr 1.

Z drukarni „SŁOWA POLSKIEGO”, Lwów, Zimorowicza 15.